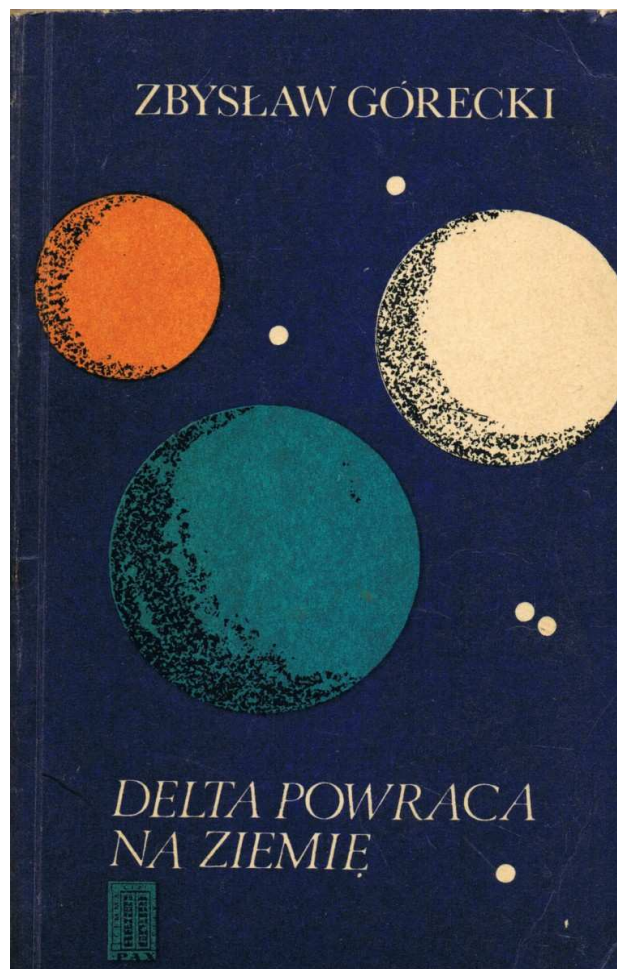


ZBYSŁAW GÓRECKI

**DELTA
POWRACA NA ZIEMIĘ**



INSTYTUT WYDAWNICZY „PAX” WARSZAWA 1971

Gwałtownie chwycił dźwignie przełączników alarmowych numer 2 i z napięciem patrzył na lampę, która migotała drażniącym, rubinowym światłem. Od wielu lat pracował w Centralach Informacyjnych statków kosmicznych, ale dotychczas tylko raz jeden zdarzyło mu się widzieć rubinową lampę w akcji. Tak, zdarzyło się to jeden jedyny raz w jego życiu, ale chyba nigdy tamtych chwil nie zapomni. Pomyślał, że i teraz musiało się wydarzyć coś nadzwyczajnego, niemal machinalnie zażył podwójną porcję biotenitu. Środek działał znakomicie. Uspokoił się natychmiast, napięcie wywołane nagłym przerażeniem ustąpiło, jednakże jakiś rodzaj podniecenia pozostał. Co też mogło się wydarzyć — pomyślał Dik — byliśmy przecież w ostatniej fazie lądowania. Delta wytraciła już szybkość i bezwolnie krążyła wokół tego kosmicznego truposza.

Tablice rozdzielcze ożywały, jedna po drugiej, dziesiątkami różnokolorowych świateł, świadcząc o tym, że pracują liczne nadajniki informacji i że aparatura działa bez zarzutu. A może — myślał dalej — zaszła jakaś pomyłka? Ale nie, rubinowa lampa mrugała bezustannie, a po niej zapalała się duża niebieska oznaczająca: „Cała wstecz od celu lotu” oraz duża zielona: „Wszyscy będący w służbie na stanowiska”. To już rozwiało ostatnie wątpliwości Dika. Lekki wstrząs i ledwie dosłyszalny szmer świadczyły o włączeniu się silników i automatów antygravitacyjnych. Chyba nie jest z nami najgorzej, skoro możemy jeszcze uciekać.

Spojrzał na zegarek. Wskazówka sekundnika posuwała się szybko. Potem włączył ekran wizjera i ujrzał zamazującą się powierzchnię Septimy II.

Do kabiny wpadł Misza. Był to drugi kontroler Centrali Informacyjnej statku. Przede wszystkim przez naciśnięcie odpowiedniej dźwigni zawiadomił dowództwo o gotowości pełnienia służby, a następnie zaczął dopinać zamki awaryjnego skafandra.

— Co się stało? — krzyknął.

— Jeszcze nie wiem — odpowiedział Dik — w każdym razie nasze automaty działają bez zarzutu i nie wygląda na to, abyśmy w najbliższym czasie mieli cokolwiek do roboty.

Misza zajął miejsce w swoim fotelu i zażył pastylkę biotenitu.

— Co u diabła rogatego mogło się wydarzyć? — zapytał znowu. — Przecież wszystko wskazywało na to, że te Septimy to zapomniane, już dawno wystygły układ planetarny. Jeszcze niedawno informowano nas, że ta stara ruina rozsypie się lada chwila w kawałki, a tu masz, ogłaszając ci wśród tych ciemnych trupów alarm numer 2.

Dika zawsze lekko irytowała nadmierna gadatliwość kolegi świadcząca o nieopanowaniu.

— No, mówże! Co o tym wszystkim myślisz? — nalegał tamten. — Co się mogło wydarzyć na tej zatechłej bryle żużlu? A może tam...

Zamilkli. Dik nie odpowiadał, a Misza nie kończył zdania. Obaj wiedzieli, o co chodzi. Wszyscy Ziemianie, gdyby słyszeli ich rozmowę, wiedzieliby, o czym myślał Misza. Niestety, od setek lat przeszukiwano kosmos na darmo. Wszędzie ziała pustka i martwota. Człowiek zaczął pojmować, że jest samotny we wszechświecie. Każda nowa ekspedycja potwierdzała tę straszną prawdę. Pojazdy mknące z szybkością większą od światła wracały po dziesiątkach lat podróży z niczym. Nigdzie nie znajdowano nawet najdrobniejszego śladu życia i z każdym rokiem rosło przerażające poczucie samotności. Raz tylko, podobno przed kilkuset laty, jakiś statek, który nigdy na ziemię nie powrócił, nadał zagadkowy radiogram. Zawierał on słowa: „znaleźliśmy” „cudowne” „bóstwo”. Wieść o tym radiogramie, pobudzona tęsknotą i samotnością, krążyła z pokolenia na pokolenie i z ust do ust, jakkolwiek nigdy oficjalna nauka jej nie potwierdziła. Różnie też o tej klechdzie sądzono. Jedni wierzyli w istnienie radiogramu, przypuszczając jednocześnie, że był on następstwem pomieszania zmysłów załogi dawnego statku. Inni wręcz twierdzili, że jest to wymysł jakiegoś fantasty.

Dik ruszył lekko ramionami.

— To niemożliwe — powiedział. — Przecież sześć lat temu byli tu nasi z Penetracji.

— Pamiętaj o tym, że ci z ekip Penetracji przeprowadzają bardzo powierzchowne badania. Czarna robota należy do nas. Pamiętaj także, że oni nie lądowali ani na Septimie II, ani na żadnej innej planecie tego układu.

— Człowieku, przecież na Septimie II temperatura dochodzi do absolutnego zera, nie ma tam ani krzty wilgoci i tlenu.

Śmieszny ten Misza — pomyślał Dik — czyżby właśnie nam udało się znaleźć to, czego inni bez skutku od setek lat szukali?

2

Światła kontrolne w Centrali Informacyjnej gaśły jedno po drugim, ale alarmu nie odwołano i załoga z napięciem oczekiwała na komunikat Głównego Koordynatora. Wszyscy wykonywali przydzielone im zadania sprawnie i spokojnie, ale nie odzywali się do siebie, aby nie uronić ani jednego słowa z tych, które miały lada chwila popłynąć z wideofonów.

Wreszcie na wszystkich stanowiskach roboczych i w pomieszczeniach rekreacyjnych rozległ się dobrze znany kosmonautom monotony głos:

— Uwaga uwaga stop tu główny koordynator ekspedycji numer 2659 stop nadajemy komunikat specjalny stop jak wiadomo celem naszej podróży jest układ Septimy i jej planet stop poprzednie badania wykazały że na Septimie i jej satelitach swojego czasu istniały warunki dla rozwoju życia organicznego stop obecnie cały układ jest absolutnie martwy stop żadna istota żywa nie może w tym regionie kosmosu egzystować stop powtarzam stop w tym regionie kosmosu żadna istota żywa egzystować nie może stop.

Misza ledwie mógł oddychać z wrażenia.

— Po co ten wstęp? — zapytał.

— Przecież wiesz — szepnął Dik. — Wszyscy są podekscytowani nadzieją, że wreszcie odkryliśmy współtowarzyszy w kosmicznej pustyni. Chyba rozumiesz — to ludzi wytrąca z równowagi.

— Niemniej — mówiły dalej wideofony — jeden z naszych statków został zniszczony przy próbie lądowania przez świadomego swoich celów przeciwnika stop jak to stwierdziliśmy nagle zaatakowana beta została rozpylona aparatem typu mikser zapewne stosującym promienie rzędu es a myślnik dwanaście stop są pytania stop.

— Ja zapytam — odpowiedział Misza.

— Ależ człowieku, z Głównym Koordynatorem mogą rozmawiać tylko nadprzeciętni! — zawołał Dik.

Ale Misza był już przy wideofonie i nacisnął jeden z guzików. Natychmiast oba aparaty Centrali, jak również wszystkie wideofony na statku ukazały jego twarz. Był trochę stremowany, ale mówił z właściwą sobie werwą:

— Coś tu nie w porządku. Albo na Septimie II nie ma warunków dla rozwoju życia organicznego, albo Beta nie została zniszczona przez świadomego swoich celów przeciwnika.

Z ekranów zniknęła twarz Miszy, a na jej miejscu ukazały się czarne wzory geometryczne, jakie zawsze towarzyszyły komunikatom nadawanym przez kierownictwo wyprawy.

— Główny koordynator nie odpowiada na pytanie stop pytanie świadczące o zupełnym braku znajomości prawideł rozumowania logicznego stop czekamy na dalsze pytania stop.

Tym razem na ekranach pojawiła się twarz jakiegoś starca.

— Czy przypadkiem przyczyną katastrofy nie była awaria automatów oraz czy kierownictwo w międzyczasie zdobyło materiał informacyjny o przeciwniku?

Wideofony znowu zaczęły się geometrycznymi wzorami.

— Główny koordynator ekspedycji 2659 odpowiada stop nie było awarii automatów stop katastrofy przy poziomie naszych urządzeń nie można było przewidzieć stop posiadamy bogaty materiał informacyjny stop niestety potrzebny jest pewien okres do opracowania go i uproszczenia aby był zrozumiały dla ludzi stop.

— Widzisz go, dla ludzi — powiedział Misza.

Dik niespokojnie spojrzał na czujniki SKP i aby nie wyglądało na to, że podziela poglądy Miszy, zaraz zareplikował wygłaszając zresztą znaną wszystkim prawdę.

— Wiesz przecież, że automaty w przeciągu sekundy zdolne są wykonać miliony działań, ale spróbuj teraz z tych działań zrobić sprawozdanie...

— Wiem, wiem — powiedział Misza. — Gnębi mnie co innego. Niepotrzebnie wyskoczyłem z tym pytaniem.

— Tak, to prawda. — Tu Dik pokiwał głową. — Następstwa tego mogą być dla ciebie groźne. Mówiłem ci przecież, że Główny Koordynator rozmawia tylko z nadprzeciętnymi. Wyrwałeś się jak Filip z konopi. Wyglądało to tak, jak gdybyś nie dowierzał swojemu atestowi. A tu nic, bracie, nie poradzisz. Doskonałe urządzenia zbadają cię na wylot i stwierdzą, że możliwości twojego mózgu dociągają do czterdziestego siódmego stopnia.

— Do licha... — Misza sięgnął po biotenit.

— Co do licha?

— Widzisz, już dwadzieścia osiem lat noszę swój atest w kieszeni, ale dopiero dziś przekonałem się, że to nie żaden bluff. Moje pytanie rzeczywiście musiało być głupie.

— Nie przejmuj się. Pożyjesz dłużej, a przekonasz się jeszcze wyraźniej, że swoich możliwości nie przekroczysz. Ale, ale, popatrz, co to? Linia niszczycieli!

— Rzeczywiście! Coś się tam dzieje!

Misza chwycił słuchawki. Jako kontrolerzy Centrali Informacyjnej mieli prawo czuwać nad jakością odbioru. Dik zrozumiał, że musiało się stać coś bardzo ważnego. Wreszcie Misza nie odrywając rąk od słuchawek powiedział:

— Ścigają nas! Diku! Nareszcie ktoś tam jest!

3

Linia niszczycieli błyszczała ciągle migającymi światełkami.

— Nie mógłbyś przełączyć na mikrofon? — zapytał Dik.

— Oczywiście, ale wiesz, że nie wolno nam tego robić. Musisz przecież obserwować inne linie.

Zresztą Dik nie gorączkował się tak jak jego współpracownik. Skoro nie ogłoszono nawet alarmu siódmej kategorii, to znaczy, że sytuacja nie mogła być groźna. Co innego Misza. Ten byle czym się przejmując i gdyby nie biotenit, już dawno skreślono by go z listy załogi.

— Septima II wysłała za nami pociski, prawdopodobnie w tym celu, aby nas zniszczyć. Znowu słuchał jakiś czas.

— Nasi już zbadali ich możliwości i teraz celowo im się podstawiamy.

— Dlaczego?

— Bo podobno zgubiły kierunek.

— Co nam z tego przyjdzie?

— Niszczyciele chcą je złapać i poddać badaniu.

— No tak, przez zbadanie pocisków dowiemy się sporo o możliwościach tych z Septimy II. A swoją drogą niszczyciele mają zajmujące zadanie.

— Niekiedy tak, ale zapominasz, że przez lata czekają na okazję i podobno przez cały

ten czas oddają się jakimś idiotycznym treningom.

Dik spojrział na czujniki SKP.

— Nie zapominaj — mówił wolno i dobitnie — że nasza Cywilizacja nie toleruje nic, co by można nazwać idiotycznym.

Misza zrozumiał.

— Dobra, dobra — powiedział. — Złapali je?

— Jeszcze nie, podobno zbyt szybko lecimy.

Na ekranie wideofonu ukazała się uśmiechnięta twarz mężczyzny o negroidalnych rysach i śniadej cerze.

— Cześć, chłopcy, jak się macie! Czy wszystko u was w porządku?

— W porządku — odpowiedział Dik — przychodź szybko, bo za parę minut twoja zmiana.

— Oczywiście, już idę. A czy znacie ostatnie wiadomości?

— Mówisz o pociskach z Septimy II?

— Tak.

— To już dla nas wiadomość z brodą.

Dik powoli zdejmował z siebie awaryjny skafander. Po nim, powiesiwszy słuchawki, zaczął to samo robić Misza.

— No i co z pociskami?

— Jeszcze ich nie złapali. Podobno skomplikowana sytuacja.

Kiedy zjawił się Afrykańczyk, Dik i Misza udali się do swojej kajuty. Po drodze spotkali Toma. Już z daleka machał do nich ręką.

— Serwus chłopcy! Pozwolicie, że u was zrobię sobie notatki ze szkolenia?

— Czyżby już opracowano zebrany materiał?

— Podobno wszystko gotowe i za parę minut ma się rozpocząć szkolenie.

Wiadomość o szkoleniu wprowadziła Miszę w zły humor.

— Myślałem, że sobie wypocznę, a tu masz, znowu robota.

— Ja chciałem się wykapać — powiedział Dik.

Weszli do kajuty i przygotowawszy uprzednio tabliczki do pisania rozłożyli się na hamakach. Dik zajął taką pozycję, żeby nie patrzeć na Toma. I dlaczego ja tego człowieka nie znoszę? — myślał. — Przecież nic mi złego nie zrobił. Co ciekawsze, im dłużej przebywamy w kosmosie, tym większą czuję do niego odrazę. Ale tak naprawdę rzekłszy, po kiego licha taszczy my tych humanistów? Przecież to bractwo ledwie do logarytmów czy do całek umie liczyć, a poza tym są zupełnie bezużyteczni.

Tymczasem Tom rozmawiał z Miszą.

— Toś się, chłopcze, wygłupił z tym pytaniem do Głównego Koordynatora. Jesteś specjalistą od uzwojeń Marone'a, czego więc pchasz się w nie swoje sprawy? Poza tym jesteś przecież tylko technikiem.

— Słuchaj, Tom — powiedział Misza — nie wiem, co o tym będziesz sądził, ale się buntuję przeciw tym atestom, przeciw tej nierówności, której nie zawiniłem.

Zamilkli na chwilę. Spojrzeli w kierunku czujników SKP. Potem Misza mówił dalej.

— Przecież to straszne nosić w kieszeni dokument, który bez odwołania określa twoją pozycję w świecie.

— Myślisz kategoriami, które byłyby zrozumiałe w czasach barbarzyństwa — odpowiedział Tom. — Przede wszystkim nie jest z tobą najgorzej, bo cyfra 47 świadczy o wysokiej inteligencji. Spójrz tylko na Dika, ma 42 i wcale się tym nie przejmuje. A co do odwołania, to cóż, minęły czasy odwołań. Nasze obecne wyniki badań są tak dalece precyzyjne i prawdziwe, że odwołanie jest...

Tom nie dokończył. Ekran wideofonu zamigotał czarnymi figurami geometrycznymi.

— Uwaga uwaga stop tu główny koordynator ekspedycji numer 2659 stop informuję że dwie rakiety wysłane z Septimy II zostały schwytane przez naszych niszczycieli stop proszę przygotować się do wysłuchania wykładu stop.

Kiedy geometryczne linie zniknęły z ekranu, Misza powiedział:

— Oczywiście, doskonale ciebie rozumiem, ale powiedz mi szczerze, czy cię szlag nie trafia, kiedy mijasz jakiegoś nadprzeciętnego i wiesz, że to dla ciebie prawie bóg, bo ty mu nigdy nie dorównasz ani nie zrozumiesz spraw, którymi on się zajmuje? Czy nie sądzicie, że barbarzyńcy byli w lepszej od nas sytuacji?

Dik i Tom znowu z niepokojem spojrzeli na czujniki SKP. Pierwszy uznał za stosowne zaprotestować.

— Jak możesz, Misza, mówić w ten sposób! Kiedy pomyślę o tej dziczy posługującej się jakimiś prymitywnymi urządzeniami, które teraz można oglądać w muzeum, ogarnia mnie...

Ekran wideofonu znowu rozbłysnął, a monotony głos z Głównej Koordynacji zapowiedział nadawanie materiałów szkoleniowych.

— No, wreszcie się czegoś dowiemy — powiedział Milsza.

Sięgnęli po notatniki i magnetyczne rysiki.

Audycję rozpoczęto podaniem szeregu cyfr i danych dotyczących Septimy II, które potem uzupełniono długim komentarzem. Następnie na ekranach ukazał się film, jaki automaty zdążyły zrobić w czasie krótkiego krążenia Deltę wokół martwej planety. Widzowie odechnęli z ulgą, bo poprzednie szybkie notowanie zmęczyło wszystkich.

Misza pochylił się do Toma i szeptem zapytał.

— Tom, ty się orientujesz, powiedz mi, jak barbarzyńcy dawali sobie radę z tymi atestami?

Tom uśmiechnął się i aby nie przeszkadzać Dikowi, odpowiedział również szeptem.

— Barbarzyńcy nie znali atestów. W czasach, w których żyli, nie trzeba było się tak bardzo koncentrować. Liczyła się wówczas również praca fizyczna. Ażeby się utrzymać na powierzchni, nie trzeba było wydatkować maksymalnych możliwości umysłowych. Oczywiście w miarę ewolucji gatunku ludzkiego wymagania rosły, ale jeszcze stosunkowo niedawno, aby egzystować, a nawet należeć do czołówki intelektualnej, barbarzyńcy potrzebowali zaledwie od dziesięciu do piętnastu jednostek Gandta.

— Rozumiem — powiedział Misza — w tych warunkach obojętne było, czy ktoś ma faktycznie czterdzieści czy trzydzieści jednostek.

— To jeszcze nie wszystko — przerwał mu Tom — bywało, że człowiek o niskich możliwościach umysłowych, jeśli odznaczał się uporem, jeśli potrafił nad sobą pracować, lub też jeśli się znalazł w warunkach pozwalających na wykorzystanie swoich możliwości, osiągał niekiedy większe wyniki od osobnika, który by dzisiaj nosił w kieszeni atest nadprzeciętnego.

Na ekranie przesuwiał się wciąż ten sam monotony krajobraz. Powierzchnia planety nie przedstawiała się frapująco. Ot, typowy martwiak, jakich załoga Deltę widziała wiele. Ogromne rumowisko skał zmrożone kosmicznym zimnem i oświetlone bladą poświatą rozgwieżdżonego nieba. Skład powierzchni planety też nie był nadto interesujący. Krzem, wszędzie krzem i jakieś nikłe pasy związków niklu. Prawie płaskie ukształtowanie powierzchni urozmaicały jedynie niewielkie wzniesienia, które tworzyły zwały różnej wielkości skalnych bloków.

— Czy pamiętacie tamtą planetę z okolic Antygony? — zapytał Dik.

— Też martwiak, ale jakie wspaniałe miała góry, turnie i kaniony, a to, słowo daję,

pastwisko.

— Ale na tym pastwisku zniszczono jeden z naszych statków — odpowiedział Dik.

Misza znowu pochylił się do Toma.

— To, co opowiadasz, w głowie mi się nie mieści. Więc mogło się zdarzyć, że skądinąd ograniczony przez naturę osobnik mógł patrzeć z góry na nadprzeciętnego?

— Tak istotnie było.

— Ależ to wspaniałe! — powiedział Misza.

— Może i wspaniałe, ale świat nie mógł stać w miejscu. Jeśli nie chcemy zginać, musimy bezustannie iść naprzód. Stały rozwój ludzkości wymagał od człowieka coraz więcej umysłowego wysiłku. No i musiało dojść do kresu naszych jednostkowych możliwości, z tym że dla jednych kres ten stanowi dwadzieścia stopni Gandta, dla innych czterdzieści, a jeszcze dla innych sto dwadzieścia. Są to fakty niewzruszone i buntowanie się przeciw nim jest bezsensowne.

Na ekranie wreszcie zaczęło się ukazywać coś interesującego.

5

Uczestnicy szkolenia dostrzegli u stóp jednego z rumowisk jakieś regularne linie, podobne do ziemskich linii transportowych i komunikacyjnych oglądanych z dość dużej wysokości. Dostrzeżono także usypiska nie znanych, mocno rozdrobnionych substancji o jednolitym kolorze. Owe linie, jak się zdaje, przebiegały nie tylko na powierzchni, lecz także pod powierzchnią skał.

— To bardzo interesujące — powiedział Tom. — Kto wie, czy nie jesteśmy pierwsi, którzy od momentu oderwania się człowieka od Ziemi ujrzeli dzieła istot rozumnych. Może wreszcie skończy się nasza samotność.

— Pamiętajcie o tym — zabrał głos Dik — że w okolicy gwiazdy Edisona, na jakiejś bezimiennej planecie również oglądaliśmy regularne linie i stożki, które po bliższym zbadaniu okazały się tworem ślepej natury.

— No tak, ale tam nie wystrzelono rakiet — powiedział Misza. — Tak, chłopcy, tu się do nas strzela, słyszycie? Tu się do nas strzela! Aż muszę sobie to dwa razy powtórzyć, tak to brzmi niewiarygodnie! Przyznam się wam, że nie przeżyłem w swoim życiu chwil tak przeźwiennie upajających.

— Wszyscy na statku są podnieceni — dodał Tom. — Zanim przyszedłem do was, widziałem się z tym i owym. Cały statek ogarnęła jakaś cicha euforia. Widziałem wielu ludzi uśmiechniętych. Przyznam się, że sam chętnie uściśnąłbym te rakiety, które leciały za nami.

Tymczasem na ekranie ukazała się wielka jasna plama wśród ciemnego rumowiska. Komentator wyjaśnił, że jest to warstwa pyłu pozostała po zniszczonej Becie. Obiektywy na chwilę zatrzymały się, jak gdyby w ten sposób chciały oddać hołd unicestwionym ludziom i automatom.

— No, niech tam mówią o mnie, co chcą — powiedział Misza — ale ta plama dowodnie świadczy, że nareszcie znaleźliśmy współtowarzyszy w kosmosie. Nie jestem nadprzeciętnym, ale chyba nikt nie może zaprzeczyć, że tam, gdzie mamy do czynienia z celowym działaniem i uporządkowaną w jakiś celowy kształt materią, tam gdzieś obok musi znajdować się twórca tego kształtu i realizator działania.

— Wygląda na to, że naprawdę mamy do czynienia z istotami myślącymi — potwierdził Dik.

Miszy nie trzeba było wiele, aby wpadł w entuzjazm.

— Czy wyobrażacie sobie, jak ucieszą się na Ziemi? Bądź co bądź pierwsi w dziejach

ludzkości zetknęliśmy się z podobnymi nam istotami! Tysiące lat patrzyliśmy w gwiazdy z uczuciem lęku przed samotnością, a od paru setek wysyłamy całe eskadry, żeby znalazły chociażby jakąś roślinkę.

— Misza, Misza! Jak zwykle przesadzasz — przerwał mu Tom — a w dodatku pojęcia nie masz o przeszłości. Pamiętaj, że w czasach barbarzyńskich ludzie nie czuli się samotni. Ziemia podzielona była siecią granic, co paręset kilometrów rozmawiali innymi językami, co kilkadziesiąt różnili się zwyczajami. Tradycja, historia, rodzina, rasa, religia, kolor skóry, położenie geograficzne, przynależność do warstw i klas społecznych, wieś i miasto, różnice w wykształceniu, odrębności cywilizacyjne, wszystko to sprawiało, że ludzie stanowili wielkie, tłumne, gwarne i różnorodne zbiorowisko. Różnice dzieliły ludzi, ale co jest bardzo ważne, nie stanowiły przeszkody do porozumienia w sprawach zasadniczych. Rzecz w tym, że barbarzyńców przez te ich różnorodne podziały było wielu, natomiast my jesteśmy jedni. Wczujcie się w melodię tych słów: Jesteśmy jedni! A tamtych granice dzieliły, ale i łączyły zarazem. Przyjeźdnego z tak zwanych wówczas obcych stron witało się serdeczniej aniżeli sąsiada z tej samej ulicy. A wyjazd do tych krajów przeżywało się jako wydarzenie nadzwyczajne. Zresztą nie chodzi o podróże, sedno rzeczy tkwi w tym, że ludzi dzieliła różność ich losów. Rozumiecie, tam gdzie jest wiele losów, tam jest wielu ludzi. Taki barbarzyńca wcale nie czuł się samotny, a na gwiazdy potrafił nie patrzeć od urodzenia do śmierci, pochłonięty swoimi codziennymi sprawami. Wyobraźcie sobie, że nawet wtedy, kiedy w pierwszych wyprawach w kosmos ustalono, że Mars jest martwy, ani jeden głos nie uderzył na alarm, nie obudziło się ani jedno przecucie strasznej rzeczywistości. Ludzkość była tak zaabsorbowana swoimi małymi kłopotami i radościami, że pierwsze zdjęcia martwej powierzchni Księżyca i Marsa nie zrobiły żadnego wrażenia. A trzeba wam wiedzieć, że na krótko przed pierwszymi wyprawami w kosmos wyobraźnia barbarzyńców zaludniła najbliższe planety gromadami myślących istot. Czy sądzisz, że ozwał się chociażby jeden głos żalu, kiedy skonstatowano, że Mars to kupa bezpłodnego gruzu? Gdzież tam! Ówczesni ludzie tak dalece sobie wystarczali, że bez zmrużenia powiek wyrzekli się marsjańskich, wenusjańskich czy księżycowych mitów. Poczucie samotności przyszło później.

6

— Wszystko, co mówisz — powiedział Misza — jest interesujące, ale wyjaśnij mi, proszę, dlaczego owo poczucie kosmicznej samotności przyszło do nas później?

Dika gnębił inny problem. Przez cały czas rozmowy patrzył w stronę czujników SKP i zastanawiał się, czy to, co się tutaj mówi, otrzyma tam dobrą notę. Chętnie by się wtrącił do rozmowy, aby zaznaczyć jakoś swoją prawomyślność, ale nie wiedział, jak to uczynić. Historia ludzkości nigdy go nie zajmowała. Zresztą nie miał do niej dostępu. Był specjalistą w dziedzinie uzwojeń Marone'a i to wszystko. Wreszcie jednak odezwał się:

— Słuchajcie, chłopcy, czy to nie szkoda czasu na takie gadanie? Jesteśmy fachowcami w określonej dziedzinie techniki i powinno nas zajmować jedynie to, co mogłoby nasze specjalistyczne wiadomości pogłębić. A historia nic nam nie da, po co więc obciążać sobie pamięć sprawami bezużytecznymi i marnować energię, która prawdopodobnie będzie nam bardzo potrzebna.

— Jesteś głupi jak but — powiedział Tom.

— Jestem specjalistą, podobnie jak ty — odpowiedział Dik — z tym, że ja się znam na uzwojeniach Marone'a, na sprawach konkretnych, natomiast wy z całym waszym humanizmem, czy jak mu tam — jesteście szarlatanami i mętnikami.

— Powtarzam ci, że jesteś głupcem.

— Dzięki nam rośnie Cywilizacja.

— Dzięki wam rośnie, a dzięki nam istnieje. To jest wielka różnica.

Tymczasem na ekranach, po filmie przedstawiającym obraz powierzchni planety rozpoczęto projekcję trudnego wykładu o przypuszczalnej budowie wibratora, którym posłużyli się przeciwnicy z Septimy II. Przerwali zatem dyskusję i znowu nacisnęli na magnetyczne rysiki.

Dalsza część wykładu była mniej absorbująca, przedstawiano w niej bowiem sposób, w jaki złowiono nieprzyjacielski pocisk raketowy. Na koniec demonstrowano najprzeróżniejsze zespoły rakiety. Okazało się że środki zniszczenia, którymi dysponowała Septima II, wprawdzie były dość prymitywne, niemniej imponowały prostotą i logiką wykonania.

— Nie ulega wątpliwości — powiedział Misza — że stoimy od nich wyżej, ale nie na tyle, żeby ich lekceważyć. Nareszcie zmierzmy się z jakimś konkretnym i godnym nas przeciwnikiem. Przyznam się wam, że już mi zbrzydło to samotne pętanie się po kosmosie. Ta jego martwota jest odrażająca. Tom — zwrócił się do sąsiada — powiedz mi wreszcie, jak to jest z tą samotnością. Męczy mnie to pytanie już od godziny.

Dik znowu spojrzął na czujniki SKP. Wprawdzie nic tu jeszcze zdrożnego nie powiedziano ani nie zrobiono, ale z automatami Systemu Kontroli Psychiczej należało zawsze być ostrożnym.

Tego rodzaju dyskusje — myślał Dik — może były dobre, kiedy Cywilizacja nie osiągnęła tak skończonego kształtu, jaki przedstawia obecnie. Doszliśmy do absolutnej perfekcji w analizowaniu zjawisk otaczającego nas świata, toteż każda wątpliwość jest błędem i może być odpowiednio potraktowana przez SKP. Moim zdaniem zupełnie niepotrzebne są dyletanckie wspominki.

Powiedział więc znowu:

— Wiecie, chłopcy, nieładnie się bawicie. Powtarzam raz jeszcze, że nie możemy sobie pozwolić na rozpraszanie uwagi i obciążanie umysłów wiadomościami dla nas bezużytecznymi.

— To prawda — powiedział Misza. — Jesteśmy już trzy lata poza Ziemią i po trochu zapominamy, co się na niej dzieje. Przecież tam dzień i noc wbijają ludziom w głowę podstawowy obowiązek pogłębiania swojej specjalności. I co gorsza mają rację. Wszystko należy podporządkować naczelnemu celowi, jakim jest utrzymanie zdobyczy Cywilizacji. Inaczej zginiemy.

Powiedziawszy to Misza spojrzął znacząco na Toma.

To wbijanie w głowę — pomyślał Dik — może nie jest określeniem najszcześniejszym, ale wygląda na to, że Miszka pieje na rachunek SKP. Dobre i to, bo już myślałem, że się zapomina.

Tymczasem Tom odebrawszy sygnał Miszy powiedział:

— Tak, zapominamy o naszych obowiązkach. A przecież nie przebrnęlibyśmy bariery Gandta, która stanowiła kres możliwości ludzi dawnego typu, gdybyśmy się nie zdecydowali zapomnieć o naszej indywidualności, upodobaniach i słabościach. Nasze mózgi wprzęgliśmy do wielkiego trustu mózgow ludzkości. Staliśmy się wyspecjalizowanymi w jednym kierunku komórkami gigantycznego aparatu. Tak, Misza, tylko dzięki temu przebrnęliśmy barierę Gandta.

Ależ ten odrabia punkty w SKP — pomyślał Dik — dobrze, że i on jest ostrożny, chociaż być może wypowiada swoją kwestię ze zbyt widoczną emfazą. Prawda, że wszystko, co tu powiedzieli, to banały znane każdemu dziecku na Ziemi, ale przecież zawiera się w nich prawda niepodważalna. Et, już i ja zaczynam nazbyt dużo myśleć.

Doszedłszy do takich konkluzji Dik pożegnał współtowarzyszy i udał się do pomieszczeń rekreacyjnych.

Wtedy to Misza, ująwszy prostokątne wieczko od pudełka po dzemie, ostrym rysikiem zaczął pisać:

„Tomie, nie obawiaj się SKP. W naszej kabinie działanie systemu zostało ograniczone. Ostatecznie, od czego jestem specjalistą w dziedzinie uzwojeń Marone'a? Nie zapominaj jednak, że mówić swobodnie możemy tylko wtedy, kiedy ci dam odpowiedni znak, no i w taki sposób, aby twoje usta nie były w zasięgu obiektywów SKP”.

Tom po odczytaniu przedstawionego mu tekstu trochę przybladł, a następnie sięgnął po biotenit. Zażył dwie pastylki naraz.

— Chłopcze — powiedział Misza — wypłuj to świństwo. Wiesz przecież, że uśmie-rzysz nim każdy lęk z wyjątkiem strachu przed SKP.

7

Tom wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł pot, który maleńkimi kropelkami zrosił mu czoło.

— A teraz? — zapytał.

— Teraz możemy rozmawiać — odpowiedział Misza. — Połóżmy się tylko na hama-kach w takiej pozycji, jak gdybyśmy drzemali. To, że odwróciliśmy się od czujników SKP, nie wzbudzi ich podejrzania, bo ludzie, jak Ziemia długa i szeroka, kładąc się do snu robią to w taki sposób, aby twarz nie znalazła się w zasięgu obiektywów.

— Rzeczywiście — zdumiał się Tom — nie zdawałem sobie z tego dotychczas sprawy, ale zawsze układałem się tak, aby mnie te niebieskawe szkiełka nie widziały. Ale czy przy-padkiem nie przeliczyłeś się w swoich możliwościach? Czy po prostu na czas jakiś nie wyłą-czasz mikrofonów?

Misza roześmiał się.

— Człowieku, gdybym je wyłączył albo uszkodził, natychmiast automaty podniosłyby alarm.

— A więc one nie są wyłączone?

— Oczywiście, że nie, obniżyłem tylko w mikrofonach fazę Qu-218.

— Nie znam się na tym, więc wyjaśnij mi, jakie to może mieć znaczenie?

— To nie jest takie proste — odpowiedział Misza — a ty jesteś laikiem. W każdym razie rzecz polega na tym, iż nie wyłączając mikrofonów obniżyłem ich sprawność do tego stopnia, że nie są one zdolne zanotować naszych rozmów. Oczywiście ową fazę obniżam tylko co pewien czas i to na krótko, w przeciwnym bowiem razie automaty dostrzegłyby podstęp.

— Słyszałem —powiedział Tom — że System Kontroli Psychiczej rozporządza aparatami korekcyjnymi, które po stwierdzeniu jakiejś niekonsekwencji w zachowaniu ludzi natychmiast podnoszą alarm.

— I dobrze słyszałeś — przerwał mu Misza — przede wszystkim bada się zgodność fonii z wizją. W tej chwili na przykład nie budzimy żadnych podejrzeń, bo mikrofony działają i notują elementarne dźwięki, natomiast nie są w stanie zapisać naszej rozmowy. Nie jest to dziwne, bo jak to wynika z sygnałów wizji, śpimy sobie w tej chwili w najlepsze.

— Rzeczywiście, teraz już rozumiem, o co chodzi — przy tych słowach Tom poruszył się jak człowiek śpiący. — To doprawdy cudowne. Przed kilkoma minutami nie byłem zachwycony twoimi wynalazkami, ale teraz dzieje się ze mną coś dziwnego. Ogarnia mnie jakieś niewyjaśnione uczucie radości. Chce mi się krzyczeć. Wiesz co? Wypróbujmy ten twój wynalazek.

— W jaki sposób?

— Zacznijmy kłać Wielkiego Koordynatora, Cywilizację, nadprzeciętnych i w ogóle wszystko, co jest święte.

Misza zainteresował się propozycją Toma, ale nie bardzo wiedział, o co chodzi.

— Człowieku — powiedział — bardzo chętnie, ale przecież nie ja jestem humanistą, więc zaczynaj i wyjaśnij mi, na czym rzecz polega.

— Widzisz — powiedział Tom — barbarzyńcy, kiedy byli bezsilni, szukali zadowolenia w pewnego rodzaju pozornym zwycięstwie polegającym na tym, że znieawidzonego osobnika czy instytucję porównywali do jakiegoś przedmiotu wzbudzającego wstręt lub odrazę lub też przedstawiali go w poniżającej sytuacji.

— To może być interesujące — powiedział Misza — a więc zaczynam. Nabawiłem się kiedyś brodawek na rękę. Są obrzydliwe. Czy dobrze będzie, jeśli powiem: Wielki Koordynatorze, jesteś jak brodawka?

— Nieźle — pochwalił Tom.

— Albo: Wielki Koordynatorze, jesteś jak kiszka odbytowa!

— Jeszcze lepiej.

— Albo: Wielki Koordynatorze jesteś jak soliter!

— I to nie najgorsze.

Misza był zachwycony. Przeklinał jak stary barbarzyńca. Mówił, że ma wrażenie, jak gdyby zmywał coś z siebie i z każdym przekleństwem stawał się coraz czystszy. Wreszcie powiedział:

— Przepraszam cię, Tom, że sam tak świetnie się bawię. Ale ty, jako humanista, będziesz to robił na pewno lepiej. A więc wal, Tom!

— Wielki Koordynatorze — zawołał Tom — mam cię w d....

Misza był wniebowzięty.

— Nareszcie zaczynam doceniać twoją specjalność. Niech żyją humaniści!

Potem obaj kosmonauci już na zmianę rzucali przekleństwami, z tym, że Tom używał zwrotów z czasów starożytnych, natomiast Misza po kilka razy je powtarzał.

Tomie! — powiedział — te stare zwroty są piękne! Ileż w nich lapidarności, prawdy i humoru!

No cóż — odpowiedział Tom — całe wieki nad tym pracowały.

8

Kiedy wreszcie obaj zmęczeni się, Misza zapytał:

— Tomie, nie znasz się na technicznych zagadnieniach SKP, ale z pewnością wiesz, skąd się ta przeklęta instytucja wzięła. Proszę cię tylko, nie zaczynaj swoim zwyczajem od słów: „Już w czasach barbarzyńskich”. Z całą pewnością wówczas tak skomplikowanych urządzeń nie znano.

Tom uśmiechnął się.

— Mój chłopcze, wszystko, co nas otacza, ma swoje korzenie w czasach, które przywykliśmy nazywać barbarzyńskimi. Wówczas również znano SKP. Oczywiście był on nieskończenie bardziej prymitywny, ale jak na owe czasy nie najgorzej realizował swoje zadanie. A więc funkcję dzisiejszych mikrofonów i obiektywów spełniali wówczas ludzie przeznaczeni do zbierania informacji o swoich bliźnich.

— I co dalej?

— Wiadomości zebrane przez agentów przekazywano zespołowi innych osobników, którzy działalność inkryminowanego oceniali. Zespoły te niekiedy nazywano sądami. I tutaj nasze SKP różni się nieco od owych sądów. Rzecz polega na tym, że automaty oceniające naszą działalność wiedzą o nas wszystko lub prawie wszystko. SKP co kwadrans podsumowuje wszystkie dane, jakie o nas zebrał. Innymi słowy specjalnie przygotowane do tego

mózgi elektronowe odbywają nad nami nieustanny sąd. Jeśli którekolwiek z tych podsumowań wykaże, że jesteśmy szkodliwi dla społeczeństwa albo stanowimy zagrożenie dla Cywilizacji, natychmiast usuwa się nas na Orpheusa. Sąd barbarzyńców zbierał się doraźnie i był w o tyle gorszym położeniu od dzisiejszych automatów SKP, że jego wiadomości o podsądnych ograniczały się do kilkudziesięciu, no powiedzmy, nawet do kilkuset danych. Sam pomyśl, jakie wnioski można wysnuć z kilkudziesięciu, i to niepewnych, informacji? Z tego, co opowiedziałem, widzisz, jak nędzna to była sytuacja w porównaniu z naszymi automatami, które gromadzą o podsądnych dziesiątki tysięcy informacji i nie zapominają nawet o takich okolicznościach jak skrupulatne wymierzenie wpływów wynikających z dziedziczenia lub nawet o panującym w chwili popełnienia przestępstwa ciśnieniu atmosferycznym.

— Wynikałoby z tego — powiedział Misza — że różnica między starym i nowym SKP polega na różnicy w ilości i jakości środków.

— Jest to na pewno ważne, ale nie najważniejsze — odpowiedział Tom. — Bardziej istotne jest to, że barbarzyńskie sądy bardzo długo, mimo postępów nauki, tkwiły na pograniczu takich zjawisk jak czarna magia i astrologia. Sądy te mianowicie wychodziły z metafizycznego założenia, że podsądny był winien lub niewinien. Wyobraź sobie, że na przykład mordercy nie uważano tak jak obecnie za człowieka kalekiego i niebezpiecznego dla otoczenia, a tylko za tak zwanego „winnego”. Dzisiejsze automaty zdają sobie sprawę z tego, że owo morderstwo jest jedynie ostatnim efektem długiego łańcucha skutków i przyczyn i jeśli bada się podsądnego, to tylko po to, aby poznać rozmiary schorzenia i ocenić, czy przestępca może się wyleczyć, czy też należy na trwałe odseparować go od społeczeństwa. Tymczasem barbarzyńcy uważali, że mógł to być osobnik normalny, który swobodnie i bez żadnych presji wewnętrznych i zewnętrznych, w sposób niemal cudowny podejmował zbrodniczą decyzję.

— Rzeczywiście, to bardzo śmieszne — powiedział Misza — ale powiedz mi, czy w istocie SKP nie jest urządzeniem prymitywnym i anachronicznym? Czy nie sądzisz, że Cywilizację stać na doskonalsze i skuteczniejsze sposoby unicestwiania swoich...

Nie dokończył. Na ekranie wideofonu ukazała się czarna twarz Alego.

— Halo, chłopcy. Chciałbym, żebyście wpadli do mnie na chwilę.

— Co się stało? — zapytał Misza.

— Właściwie nie bardzo wiem, co się dzieje i dlatego dobrze byłoby, żebyście zaraz przyszli.

Misza i Tom zerwali się z hamaków i pobiegli do Centrali Informacyjnej. Po chwili zjawili się tam Dik i Wang, czwarty dozorca automatów Centrali.

Młody Afrykańczyk wskazał na tablicę kontrolną. Po prawej stronie u góry pulsowało kilkanaście światełek.

— Ktoś z nami rozmawia z zewnątrz! — zawołał Misza.

— Może to Ziemia? — powiedział Tom.

— Ależ skąd! Kanały Ziemi są poniżej.

— A więc może awaria?

— Nie ma awarii — wyjaśnił Ali — przed chwilą wszystko sprawdziłem. Sprawdziłem również, czy przypadkiem nie weszły na te fale inne statki, ale u nich wszystko w porządku.

— Robiłeś namiar? — zapytał Dik.

— Robiłem i okazało się, że źródło impulsów pochodzi z Septimy II.

— To zaczyna być interesujące — powiedział Misza.

— Być może nasi koordynatorzy nawiązali kontakt z Septimą II — zauważył Wang — a poza tym nie rozumiem, dlaczego wyrwałeś mnie z łóżka.

Ali pozostawił pytanie Wanga bez odpowiedzi, a tylko nałożył Miszy na uszy słuchawki. Następnie uruchomił ekran graficznego zapisu.

Misza czas jakiś słuchał i obserwował jeden z ekranów. Kiedy zdejmował słuchawki, na jego twarzy malowało się zdumienie.

— To już cała wiązka sygnałów! Kilkanaście linii zapisu! Wygląda na to, że ktoś sprawdza prawidłowość funkcjonowania mózgowi elektronowych.

— Tak — potwierdził Ali — z ogromną szybkością nadają różne kombinacje sygnałów. Co gorsza, podejrzewam, że ktoś próbuje uruchamiać nasze automaty.

— Ależ to może doprowadzić do katastrofy!

— Czy to możliwe, aby można było tak łatwo powodować nie znanymi automatami?

— Oczywiście, że możliwe — powiedział Dik. — Od wielu lat nie mamy do czynienia z żadnym wrogiem, dlatego niepotrzebne nam były środki ostrożności. Celem życia całych pokoleń jest produkowanie możliwie prostych w budowie i obsłudze automatów. Teraz mamy tego skutki.

— Chłopcy — przerwał Dikowi Ali — to jeszcze nie wszystko. Podejrzewam, że nie tylko sprawdza się nasze urządzenia, ale niektóre z nich wydawały już pod wpływem zewnętrznych impulsów jakieś dyspozycje. Niestety, nie wiem, czego owe dyspozycje dotyczą, w każdym razie skierowano je do mózgowi elektronowych nawigacji.

Wang rzadko zabierał głos, a jego twarz znamionowała niewzruszony spokój.

— Przyjaciele, niepotrzebnie ekscytujemy się niewczesnymi domysłami. Naszą rzeczą jest pilnować uzwojeń Marone'a i nic poza tym.

— A co będzie — zawołał Misza — jeśli ktoś opanował nasze automaty?

— Jestem przekonany — powiedział Ali — że już nimi nie dysponujemy. Z tego, co słyszałem, domyślam się, że spadamy na Septimę II.

Specjaliści z Centrali Informacyjnej sięgnęli jak jeden mąż po tabletki biotenu.

9

Tym razem przemówił Tom:

— Załóżmy na chwilę, że istotnie ktoś z zewnątrz rozszyfrował nasze automaty, a następnie skierował nas na Septimę II, abyśmy się rozbili o jej skały. Jak sądzicie, kiedy to może nastąpić?

— Od chwili katastrofy upłynęło już trzysta dwadzieścia minut — powiedział Ali — natomiast dyspozycje dla automatów nawigacyjnych wydano w dwieście osiemdziesiątej minucie jazdy. Jeśli zatem zawrócono nas z drogi, to do zderzenia z Septimą II pozostało jeszcze dwieście pięćdziesiąt osiem minut.

— A może chodziło im tylko o to, żeby zmylić nam drogę — powiedział Misza.

— To jest mało prawdopodobne — Tom sięgnął po drugą tabletkę biotenu — jaki interes mógłby mieć ktokolwiek, aby sprowadzić nas z kursu? Prędzej czy później dostrzeglibyśmy odchylenie. Po prostu obawiają się nas. Sądzą, że wrócimy, i dlatego postanowili nas uprzedzić i zniszczyć, zanim przeciw nim przedsięwziemy jakieś kroki.

— A może ich również gnębi tęsknota? Może też czują się samotni i pragną siłą sprowadzić na nas Septimę II? — zapytał Ali.

— A Beta?

— Może to była pomyłka? Może zadziałał jakiś automatyczny system obrony przed meteorami?

— To wszystko być może, ale na wszelki wypadek wolę twoją hipotezę rozważać wówczas, kiedy nie będziemy mieli żadnego wyboru — odpowiedział Tom — na razie jednak musimy zastanowić się, czy ekspedycji nie grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

W tej chwili spojrzął na czujniki SKP i przysłonił ręką usta, jak człowiek, który gładzi się po twarzy. Po małej przerwie, jakby z wahaniem, powiedział:

— Po co się zastanawiać? Zablokujemy kanały i w ten sposób przerwiemy strumień

impulsów z Septimy II.

Obecni znieruchomieli. Przymknęli oczy i trwali tak czas jakiś, jak gdyby oczekując ciosu. Ale czujniki SKP i wideofony milczały. Nikt nie podnosił alarmu ani też z wentylów umieszczonych pod stale szpiegującymi obiektywami nie wypuszczano obezwładniającego gazu.

Kiedy wreszcie to wszystko sobie uświadomiono, Tom pochylił się do Miszy i szeptem zapytał:

— Czy tu też?

— Oczywiście — odpowiedział Misza.

Powoli prostowali się i inni.

— Przyjaciele — powiedział Wang. Głos jego był cichy, ale słyszano go doskonale. — Nie wiem, co sądzić o słowach Miszy, a jeszcze bardziej jestem zdumiony milczeniem SKP. W każdym razie nie dajcie się ponieść panice. Wiecie przecież, że zablokowanie kanałów informacyjnych byłoby niewybaczalnym grzechem przeciw Cywilizacji. Pamiętajcie o tym, że Cywilizacja to przede wszystkim ogromna armia sprzężonych ze sobą automatów. Każdy z nich potrafi milion razy szybciej od nas powziąć decyzję lub dokonać jakiegoś obliczenia. Wiecie przecież, że ów gigantyczny aparat puściliśmy w ruch, ale nie możemy za nim nadążyć. Jakakolwiek zatem nasza interwencja w sferę działania automatów może się zakończyć nieobliczalną w skutkach katastrofą dla całej Ziemi.

— Więc mamy ginąć?

— Może lepiej ginąć aniżeli naruszyć podstawowe prawo naszej Cywilizacji.

Coś tu się dzieje niedobrego — myślał Dik. — Oni tu sobie w najlepsze dyskutują o podstawowych prawach Cywilizacji, a minuty płyną. Mimo że zażyłem trzy pastylki biotenu, ogarnia mnie strach przed śmiercią. Zapewne podobnie czują to wszyscy, nawet Wang. Poza tym dziwne, że SKP milczy. Sądziłem, że po takich słowach następuje natychmiastowa reakcja. Może przesadzono w wiadomościach o tym systemie? Może nie jest on aż tak czuły, jak się słyszało?

Tymczasem mówił Tom:

— Mylisz się! Człowiek jest ważniejszy od wszystkich automatów!

— Ludzie! — Wang podniósł obie ręce. — Co się z wami dzieje! Przecież zdajecie sobie sprawę z tego, że żyjemy w świecie niezwykle skomplikowanym. Pomagają nam w tym maszyny, które w przeciągu sekundy dokonują Więcej, aniżeli cała ludzkość zdołałaby dokonać w okresie dziesięciu lat. Nas nie stać na doraźne skontrolowanie ich działalności. Nie pozostaje nam nic innego jak wierzyć automatom.

— A jeśli się pomylą?

— Nie pozostanie nam nic innego jak wierzyć nawet wtedy, kiedy się pomylą. Nie jesteśmy w stanie kontrolować je na bieżąco.

10

Obiektywnie rzecz oceniając, Wang ma rację — myślał Dik — jesteśmy skazani na wiarę w to, co nam podadzą automaty. Nic na to nie poradzimy, że nie jesteśmy w stanie ogarnąć wszystkich działań, jakich nasze mózgi elektronowe dokonują. Oczywiście, że Wang ma rację. Wtrącanie się do ich gigantycznych przeliczeń jest śmieszne. Nikt temu nie zaprzeczy, niemniej sytuacja nie należy do najpogodniejszych. Minuty lecą.

Chwilę milczenia, która nastąpiła po ostatnich słowach Wanga, przerwał głos Miszy:

— Boisz się?

Wang popatrzył na Miszę z pogardą.

— Ja się nie boję — odpowiedział — a jeśli to nastąpi, zażyję następną dawkę biotenu. Wiem tylko, że burzycie Cywilizację! Od dzieciństwa wierzymy automatom. Na zaufaniu do nich opiera się funkcjonowanie całego naszego aparatu społecznego. Zasada zaufania do mózgow elektronowych rządzi całym naszym życiem i jest naszym prawem, moralnością, wiarą i świętością. Nasza eskadra to przecież także jeden wielki automat. My ludzie jesteśmy tylko jego znikomą częścią. Któż więc odważy się wtargnąć w świat automatów i przerwać nagle ich złożoną działalność? Tylko szalenciec lub zupełny nieuk mógłby na to się ważyć. Jeśli nadawane są jakieś sygnały, najwidoczniej tak być powinno. Samowolne zablokowanie kanałów mogłoby pomieszać szyki Głównego Koordynatora i popsuć jakąś akcję, być może niezmiernie wagi.

— Niemniej sytuacja wydaje się wyjątkowa i nie jestem pewien, czy zalecana przez Wangę bierność jest postawą najszluszniejszą i najbardziej pożyteczną dla Cywilizacji — powiedział Tom.

— Chłopcy! — zawołał Ali. — Jestem przekonany, że spadamy na Septimę II! Musimy się pospieszyć!

— Weź dodatkową porcję biotenu...

— Jestem zdania, że powinniśmy porozumieć się z nadprzeciętnymi.

— Przecież wiecie, że nie będą chcieli z nami rozmawiać — powiedział Misza. — Przez przypadek wykształcił im się trochę sprawniejszy mózg i wydaje im się, że są półbogami. Nie cierpię ich.

— Wobec tego połączymy się z Wydziałem Nawigacji. Od porozumiewania się między różnymi specjalnościami jest Tom i jego towarzysze.

Do aparatu podszedł Tom. Po chwili na ekranie wideofonu ukazała się twarz jednego z dyżurnych nawigatorów.

Kiedy Tom zapytał, czy u nich wszystko w porządku, tamten spojrzął z ekranu podejrzliwie. Ale Tom nie ustępował i pytał dalej:

— Czy wasze automaty otrzymały jakieś dyspozycje w sprawie zmiany kursu?

Na twarzy nawigatora odmalowało się zdumienie, stawianie bowiem jakichkolwiek pytań z zakresu jakiejś specjalności przez osoby niekompetentne było pochytywane za poważne wykroczenie przeciwko obowiązującym zasadom. Z drugiej strony nie było powodu, aby Tomowi nie odpowiedzieć. Zatem nawigator poinformował go, że istotnie Główny Koordynator polecił zmianę kursu.

— Czy spadamy na Septimę II?

— Tak jest — odpowiedział tamten — lecimy prosto na Septimę II.

Tom pokrótce przedstawił podejrzenia, jakie powzięli w Centrali Informacyjnej.

Nawigator wymownym ruchem głowy, zrozumiałym na Ziemi od pokoleń, wskazał na własną instalację SKP, która znajdowała się poza polem widzenia wideofonu i po chwili milczenia powiedział:

— Rozumiem, ale jakże mogę kwestionować dyspozycje Głównego Koordynatora? Skoro tam u nich zdecydowano, że wracamy na Septimę II, to znaczy, że wracamy. — Tu znowu uczynił ów wymowny ruch głową. — Niemniej zakomunikuję o waszych podejrzeniach, „komu będę mógł”.

Ostatnie słowa wypowiedział ze szczególnym przyciskiem.

Oczywiście, wszyscy dozorczy Centrali Informacyjnej doskonale zrozumieli nawigatora. Wang z wściekłością rzucił się do wideofonu. Ali i Dik chwycili go za ręce.

— Jeszcze raz was ostrzegam, że to wszystko, co robicie, godzi w Cywilizację! — krzyczał Wang. — On powiadomi, kogo będzie mógł! Przecież to jawne przyznanie się do choroby Webera. Ludzie! Od urodzenia uczą was, że choroba Webera to jedno z największych niebezpieczeństw dla Cywilizacji! Dlaczego nie działa SKP? Co tu się dzieje?

Misza pochylił się do ucha Toma.

— Rzeczywiście, coś dziwnego dzieje się z SKP. Jestem zdania, że mimo moich kombinacji urządzenie powinno już reagować.

Natomiast do Wanga powiedział:

— Cóż na to poradzimy? Choroba Webera rozwija się w izolowanych grupach ludzi i w okolicznościach, kiedy ludzie ci zmuszeni są pokonać jakieś nietypowe sytuacje. A więc wszystko się zgadza. Jesteśmy taką wyizolowaną grupą i trudności nadarzają się nieprzeciętne.

Wang odwrócił się od Miszy i zaczął wołać do Toma.

— Tomie! Jesteś humanistą, a ci tu dokoła to tępi technicy! Jesteś od nich inteligentniejszy, a twoje horyzonty myślowe są szersze! Wyjaśnij im, póki nie jest za późno! Czy słyszysz mnie, Tom?

— Oczywiście.

— Więc czemu nie przeciwstawiasz się tym głupcom? Przecież ten nawigator jawnie przyznaje się do choroby Webera. Czy może śmiesz powiedzieć, że nie mam racji?

— Nic podobnego — odpowiedział Tom. — W zasadzie masz rację, ale tak się złożyło, że automaty, które od setek lat nam pomagały, a nawet wykonywały za nas dziewięćdziesiąt dziewięć czynności umysłowych i fizycznych, a którym na Ziemi z zaufaniem powierzyliśmy los ludzkości, w naszym przypadku zostały opanowane przez obce ośrodki dyspozycyjne i obecnie działają przeciwko nam. Sytuacja zatem jest wyjątkowa i zmusza nas do stosowania wyjątkowych środków.

— Nieprawda! Człowieku, jesteś w błędzie! Tom, pamiętaj, że w walce z automatami będziecie zmuszeni rozbudzić takie siły natury ludzkiej, które mogą okazać się zabójcze dla Cywilizacji.

— Może nie będzie tak źle — odpowiedział Tom — może schorzenie Webera nie okaże się tak groźne.

— I ty to mówisz! Wygląda na to, że nie wiesz, co to jest choroba Webera!

— Ależ wiem doskonale i jeśli tak mówię, to mam po temu powody. Przed chwilą powiedziałeś, że wy technicy jesteście cośkolwiek ograniczeni waszą specjalnością, tak więc, jako że jesteś tylko technikiem, posłuchaj. Na Ziemi nie ma warunków do szerzenia się schorzenia Webera. Owszem, w czasach barbarzyńskich, kiedy walczyli wszyscy ze wszystkimi, schorzenie Webera musiało się rozpowszechnić, ludzie bowiem łączyli się w grupy, żeby łatwiej zwyciężyć przeciwnika. Mało tego, zważywszy, że okres barbarzyństwa rozwijał się na biegunowo odmiennych zasadach aniżeli Cywilizacja, choroba Webera była nawet czynnikiem pożytecznym i koniecznym, co mówię, była warunkiem istnienia owych grup. Barbarzyńcy nazywali ją między innymi przyjaźnią. Lecz co innego okres barbarzyństwa, a co innego dzień dzisiejszy Obecnie na ziemi nie ma walki, lecz wielka stabilizacja. Nikt z nikim nie musi się zmagać ani o chleb, ani o pozycję społeczną. Chleb dostajemy, pozycja jest określona przez automaty w zależności od naszych możliwości umysłowych. Po cóż nam przyjaźń? W naszych warunkach jest ona niepotrzebna. Można by rzec — nieuzasadniona. Jeśli zatem na jakimś statku kosmicznym, w warunkach odmiennych aniżeli ziemskie, wśród wspólnie znoszonych trudów podróży rozwinię się schorzenie Webera, to i cóż z tego? Na Ziemi cała sprawa przestanie być aktualna. Tak więc cóż złego się stanie, że w wyjątkowych okolicznościach skorzystamy ze schorzenia Webera i powiadomimy o niebezpieczeństwie swoich potajemnych przyjaciół, czyli, jak to się u nas mówi, „kogo trzeba”? To prawda, że nawigator powinien zameldować o wszystkim swojemu zwierzchnictwu, ale skoro zwierzchnictwo jest opanowane przez nieprzyjaciela, czyni słusznie, że powiadomi „kogo będzie mógł”.

— Ach, ty łotrze! — krzyknął Wang — korzystasz z tego, że jesteś humanistą, ale mylisz się, jeśli sądzisz, że nam zamydlisz oczy. Pamiętaj, że ja, jakkolwiek jestem tylko technikiem, posiadam pięćdziesiąt stopni Gandta, a i rozumiem więcej, niż ci się zdaje. Kłamiesz od początku do końca! Kłamiesz, bo doskonale wiesz, że na Ziemi istnieją warunki do rozwoju schorzenia Webera, jak również że to schorzenie tam się mimo wszystko rozwija. Poza tym gdyby nie stanowiło, jak ty to przedstawiasz, żadnego niebezpieczeństwa, nie byłoby tępione z taką bezwzględnością. Kłamiesz, bo wiesz o tym dobrze, że jest na Ziemi wielu niezadowolonych, którzy gdyby się połączyli węzłami przyjaźni, stworzyliby potęgę, której nie mógłby się nikt przeciwstawić w zatomizowanym społeczeństwie Cywilizacji.

— Przecież Cywilizacja jest tyranią rozumu. Szczycimy się tym. Nasza zbiorowa wiedza dosięgła takiego poziomu, że obecnie każda decyzja zwierzchności jest niepodważalna i nie podlegająca krytyce. Któż by śmiał się jej przeciwstawić?

— Znowu kłamiesz, bo wiesz, że są ludzie, którzy buntują się nawet przeciw prawdzie. Jest to jakieś atawistyczne dążenie do jednostkowej niezależności. Wiesz o tym, że istnieją także głupcy, którzy po prostu nie są zdolni ogarnąć ogromu mądrości Cywilizacji. Wiesz również, że mimo wszystko i wbrew oczywistej logice przeciętni nienawidzą nadprzeciętnych i chętnie połączyliby przeciwko nim swoje siły.

— A jeśli nawet schorzenie Webera ogarnie uczestników naszej ekspedycji, to i cóż z tego? Czy zaraz musi runąć Cywilizacja? — zapytał Misza.

Za Wangą odpowiedział Tom:

— Widzisz, przyjacielu, obiektywnie rzecz biorąc Wang ma rację. Chodzi o to, że przy obecnym stanie techniki nie możemy pozwolić sobie na jakikolwiek spór. Doszliśmy do tego, że posiadane przez nas środki zniszczenia, użyte w walce, unicestwiłyby w przeciągu minuty całe życie na Ziemi. Ażeby do tego nie dopuścić, musieliśmy zlikwidować wszelkie różnice, stanowiące zdradliwe załączki przyszłego sporu. Musieliśmy nawet zniszczyć naszą indywidualność i całkowicie podporządkować się Cywilizacji. Oczywiście w takich warunkach rodzenie się związków przyjacielskich jest zjawiskiem nader niebezpiecznym i naruszającym równowagę wewnętrzną Cywilizacji. Poza tym każda tyrania, czy to nasza tyrania rozumu, czy też tyranie barbarzyńskie niechętnie patrzyły na związki przyjaźni powstające samorzutnie i nie poddające się kontroli, podobnie jak niechętnie patrzymy na rozwijające się w naszym ciele tkanki raka. W dodatku schorzenie Webera rodzi się na pożywcze groźnego dla Cywilizacji indywidualizmu i to u osobników o silnej indywidualności. Miernota nie ma przyjaciół i nie odczuwa potrzeby przyjaźni.

— No więc po czyjej stajesz stronie? — krzyknął znowu Wang.

— Cóż, ty masz rację, ale ja chcę żyć. Może i lepiej byłoby dla Cywilizacji, gdybyśmy zginęli, ale zrozumiemy: my chcemy żyć! Po prostu żyć!

Tymczasem na ekranie wideofonu zajaśniały dobrze znane wszystkim zygzaki. Po chwili z głośników popłynął monotony głos:

— Uwaga uwaga stop tu główny koordynator ekspedycji numer 2659 stop przypominam wszystkim iż obowiązkiem każdego członka załogi obywatela jedynej i niepodzielnej cywilizacji jest skrupulatne wykonywanie swoich zadań stop cokolwiek by się stało...

I tu wydarzyła się rzecz niezwykła, Misza jednym skokiem znalazł się przy tablicy rozdzielczej i całą dłoń uderzył w wyłączniki kanałów łączności zewnętrznej. Światelka sygnalizujące funkcjonowanie połączenia zgasły i jednocześnie umilkł głos Głównego Koordynatora. Dla wszystkich stało się jasne, że statek został opanowany przez obcy ośrodek dyspozycji.

— No, jak wam się to podoba? — zawołał Misza. — A może chcecie posłuchać

dalszego ciągu przemówienia? — Zdjął rękę z przełączników. Głos Głównego Koordynatora mówił dalej:

— ... krytycyzm brak zaufania to nasi...

Misza znowu uderzył w wyłączniki.

— Chyba zgodzicie się, że trzeba wreszcie położyć kres temu sympatycznemu połączeniu.

Ali i Tom przytaknęli, natomiast Dik skierował się do wyjścia.

— Dokąd idziesz, Dik? — zawołał Misza.

— Sądzę, że nie zostało nam wiele czasu, idę więc zawiadomić, „kogo będę mógł”. Mam kogoś, komu mogę wszystko szczerze powiedzieć.

Tom ruszył za nim, ale zawrócił.

— Chciałem i ja powiadomić, „kogo będę mógł”, ale co z Wangiem? Niestety, zdajecie sobie chyba sprawę, że jest dla nas niebezpieczny.

Wang siedział nieruchomo zapatrzony w jakiś punkt na tablicy rozdzielczej. Po słowach Toma wstał, podszedł do apteczki. Dozorcy Centrali Informacyjnej nie przeszkadzali mu. Ujawszy słoik z białym proszkiem powiedział:

— Żegnajcie, chłopcy, i jeśli dotrzecie na Ziemię, zaświadczyć, że Wang był wierny Cywilizacji do ostatniej chwili. Pamiętajcie również, iż dzięki takim jak ja Cywilizacja żyje, natomiast tacy jak wy doprowadzają ją do katastrofy.

12

Na statku zaroilo się jak w ulu. Wtajemniczeni zawiadamiali swoich przyjaciół, ci z kolei dalszych. W ten sposób ciche porozumienie ogarnęło większość załogi Deltę. Wprawdzie napotymano ludzi pokroju Wanga, którzy siłą próbowali przeszkodzić wzbierającemu fermentowi, ale unieszkodliwiono ich w różny sposób. Następnie sporo kłopotu narobił SKP, który z niewiadomych przyczyn nagle zaczął działać, i to tak skutecznie, że zanotowano kilka ofiar śmiertelnych.

W Centrali Informacyjnej znaleźli się znowu Dik, Misza i Ali, natomiast Tom udał się do swoich humanistów. Trup Wanga leżał w kącie.

— Ciekaw jestem — mówił Misza — co z tego wszystkiego wyniknie. Na razie spadamy prosto na Septimę II.

— Mamy jeszcze sto pięćdziesiąt dwie minuty — powiedział Dik — w tym czasie może uda się nam odzyskać panowanie nad automatami.

— Chciałbym bardzo w to uwierzyć — wtrącił Afrykańczyk.

— Pamiętajcie jednak, że urządzenia naszej Centrali są stosunkowo proste, ale inni mają teraz ciężki orzech do zgryzienia.

— Są automaty zapasowe.

— Niewiele to pomoże, bo automaty zapasowe otrzymują podobne dyspozycje jak automaty pracujące, a to dlatego, aby natychmiast po wymianie i włączeniu do obiegu mogły wejść do akcji. Nasze zadanie polega na tym, aby odcyfrować wszystkie dyspozycje Septimy II i przekazać automatom własne. Dopiero wtedy będziemy zdolni do walki z tym groźnym martwiakiem.

— O ile wiem — powiedział Dik — całe obciążenie dyspozycyjne automatu można skasować za jednym zamachem.

— Owszem, można — odpowiedział Misza — ale tylko wówczas, kiedy automat poddawany jest próbom w warsztatach naprawczych, nie wtedy, kiedy znajduje się w akcji i jest włączony do ogólnej sieci automatów.

Ali nie brał udziału w rozmowie. Przyciskając słuchawki do uszu łączył się z coraz to innym kanałem.

— No i co tam? — zapytał Misza.

— Wygląda na to — odpowiedział Ali — że wszędzie wre praca nad odzyskaniem automatów i wykrywaniem dyspozycji Septimy II.

Dik spojrział na zegar, którego cyfry niepokojąco szybko zmieniały się w okienku.

Wykrywanie — pomyślał — odbywa się wszędzie, ale czy zdążymy? Kto wie, czy Wang nie wybrał najlepszej drogi? Czy rzeczywiście życie nasze jest aż tak wiele warte? Czy należy aż tak się wysilać, żeby je ratować, aby potem nieść zagładę Cywilizacji? Ale to nie moja sprawa, mam tylko czterdzieści dwa stopnie Gandta. A swoją drogą chciałoby się chociaż raz jeszcze zobaczyć Ziemię z jej rozświetloną atmosferą, z zielonością i z tymi kolorowymi owadami, które głośno brzęczą latają od jednego kwiatka do drugiego.

Sięgnął po biotenit i zażył podwójną porcję.

— Pewnie nadprzeciętni wezmą wszystko w swoje ręce — powiedział Ali.

— Któż by inny mógł to uczynić? — odrzekł Misza.

— Czy mamy ich wielu na statku?

— W każdym razie kilku na pewno. Słyszałem o jednym, który posiada dwieście sześćdziesiąt osiem stopni Gandta.

— To potęga!

— Wyobrażam sobie, jak mu teraz mózg trzeszczy.

— Do licha, ciekawe, jak się czuje facet pięć czy sześć razy inteligentniejszy ode mnie?

— Ja im tam nie zazdrozczę — powiedział Dik — za to Cywilizacja wymaga od nich pięć lub sześć razy więcej. A efekty? Tyle tylko, że mają świadomość swojej wielkości i z tego tytułu mogą ze mną nie rozmawiać.

— Ale ich nie lubisz.

— No cóż, wszyscy przeciętni szczerze ich nienawidzą.

Nagle ekran wideofonu zabłysnął ciemnymi zygzakami. W Centrali Informacyjnej ucichło. Po chwili zniknęły kreski, a na ekranie pojawiła się twarz mężczyzny w sile wieku, o ciężkim i smutnym spojrzeniu. Potem z głośników popłynął chropowaty, ale miły i ujmujący głos.

— Przyjrzyjcie mi się dobrze. Od tej chwili jestem Głównym Koordynatorem ekspedycji. Tak się złożyło, że nasze urządzenia zostały podporządkowane nieprzyjaznemu nam ośrodkowi dyspozycyjnemu. W wyniku tego wyłączono spod naszej kontroli znaczną część automatów. Automaty te musimy jak najszybciej odzyskać i oczyścić z obcej dyspozycji. Jeśli zadania tego nie wykonamy w odpowiednim czasie, roztrzaskamy się o skały Septimy II. Jak więc widzicie, sytuacja nakłada na nas trudne zadania. Musimy się zdobyć na ogromny i skoordynowany wysiłek umysłowy i fizyczny. A więc zarządzam, aby wszystkie stanowiska kontroli były obsadzone, natomiast cała rezerwa została przeznaczona do prac dodatkowych. I jeszcze jedno. Musimy wykorzystać wszystkie rezerwy naszych umiejętności.

Tu mówca zrobił dużą pauzę, a słuchający mimo woli popatrzyli na czujniki SKP.

— Coś tu pachnie Orpheusem — powiedział Dik.

— Wiem — zaczął znowu Główny Koordynator — że to, co powiedziałem, zdumiało was i zaskoczyło. Wiemy o tym wszyscy, że aby utrzymać Cywilizację przy życiu, wymagano od nas, abyśmy się bez reszty oddawali swojej specjalności. Musieliśmy poświęcić dla niej wszystko! Przestaliśmy być ludźmi, a stawaliśmy się samą fachowością. Doszło do tego, że ludzie różnych działów techniki nie potrafią się już ze sobą porozumieć. Muszą im z kolei pomagać w tym wydzieleni specjaliści. Ale któż zaprzeczy, że w tajemnicy przed całym światem wielu z was nielegalnie zdobyło poważną niekiedy wiedzę, która — chociaż nigdy nie ujawniona i na darmo obciążająca umysł, dawała nam jednak przynajmniej złudę niezależności. Liczę na to, że teraz, w obliczu zbliżającej się katastrofy, ujawnicie swoje dodatkowe

wiadomości, abyśmy mogli je wykorzystać. Ta wiedza może nas uratować. Pamiętajcie, że kanał kombinacji KD-1 jest już przez nas opanowany, zgłaszajcie więc tam wasze nie reje-strowane przygotowanie. Przrzekamy, że przed powrotem na Ziemię wszystkie informacje z kanału KD-1 zostaną skasowane.

13

Toma i Miszę wezwano do pracy poza Centralą Informacyjną. W samej Centrali dyżurował Ali, natomiast Dik, który nie posiadał żadnych dodatkowych umiejętności, udał się do swojej kajuty, gdzie czekał na polecenia Głównego Koordynatora.

Niedobrze się stało, że trafiłem na statek kosmiczny — myślał. — Gdybym pracował na Ziemi, moje życie pozbawione byłoby takich niespodzianek. Żyłbym sobie spokojnie, bez zgrzytów, a czujniki SKP w moim pokoju zardzewiałyby z beczynności. Niestety, tutaj jest inaczej. Zawsze byłem lojalny w stosunku do Cywilizacji, ale skoro rzeczy przybrały tak niespodziewany obrót, chyba dobrze zrobiłem, że się nie upierałem tak jak Wang. — Dik uśmiechnął się do siebie. — Oni myślą, że ja rzeczywiście miałem jakiegoś przyjaciela. O! Nie ma głupich. Mnie choroba Webera nie ima się. Nie jest mi nikt potrzebny. Najważniejsze, żeby przeżyć, przeżyć, przeżyć. Po prostu wyszedłem pozorując włączenie się do wojny z automatami. No cóż, bałem się, że mnie zakatrupią. A ja chcę po prostu żyć. Z drugiej strony przyznaję, że nie uśmiecha mi się roztrzaskanie statku na Septimie II. Zrobię wszystko, żeby się to nie stało, ale co dalej? Uratowanie się od Septimy to nie wszystko. Zdaje się, że trudniejszy będzie powrót na Ziemię. Tamtejszy SKP nie puści płazem tego wszystkiego.

Dik sięgnął po biotenit i poszedł do Alego.

— Co nowego? — zapytał.

— Trochę śmiesznie w naszej sytuacji mówić, że nic nowego, ale tak jest w istocie. Wszędzie pracują nad opanowaniem automatów.

— Czy sądzisz, że zdążymy przed zetknięciem z Septimą?

— Nie wiem, ale musimy mieć nadzieję.

— A co potem? — zapytał Dik, interesowało go bowiem, jak Ali zapatruje się na kwestię zabezpieczenia powrotu na Ziemię.

— Nie chcę o tym myśleć — powiedział Ali. — Zresztą niech się dzieje, co chce.

— Jak mam to rozumieć?

— Zwyczajnie. Na razie chcę żyć, co będzie potem, niewiele mnie obchodzi. Zresztą powiem ci. Coś się we mnie przełamało. Nie wiem, czemu to przypisać, ale teraz dopiero zrozumiałem, jakie to upokorzenie przeżyć życie, a jednocześnie nie przeżyć naprawdę ani jednej chwili. Czy ty mnie rozumiesz, jakie to straszne być bezustannie kimś innym, myśleć jak kto inny, poruszać się jak kto inny, czuć jak kto inny?

— Cóż, innego wyjścia nie ma. Wiesz, że indywidualizm to śmierć dla Cywilizacji.

— Oczywiście, wiem o tym bardzo dobrze. Wbijają nam w głowę od urodzenia, że indywidualizm to spór, to anarchia, to skłonność do tworzenia się antagonistycznych grup ludzkich, wreszcie walka między tymi grupami i... katastrofa. Wiem, wiem, rozporządzamy taką potęgą, że moglibyśmy rozpylić całą kulę ziemską, dlatego musimy tępić najdrobniejszy objaw indywidualizmu jako zwiastuna klęski. Dlatego stworzyliśmy społeczeństwo-automat, w którym prawie wszystkie funkcje umysłowe wykonywane są przez maszyny. Innego wyjścia nie ma i musimy się zgodzić na owo społeczeństwo żywych trupów.

Dik zamyślił się.

— Zgoda na to, ale przecież gdzieś tam na samym dnie istnieje marginesik, który pozwala nam na małą własną radość z życia, z zieleni, z nieba, z powietrza. Tylko

tyle zapewnia nam Cywilizacja, gdyż na więcej jej nie stać, ale i to bardzo dużo.

— A więc giń za ten marginesik, tak jak to zrobił Wang. Giń za cudzy marginesik życia. Poświęć swoje marzenia o prześwietlonym słońcem powietrzu i zieleni traw dla innych. Ja nie myślę tego robić. Cywilizację szanuję, ale dopiero teraz zrozumiałem, że płacę za jej istnienie zbyt dużą cenę. Być może za godzinę roztrzaskamy się na Septimie, ale nie będę żałował. Ta godzina to będzie coś większego niż całe moje dotychczasowe życie.

Dik roześmiał się.

— Właśnie przyszedłem do ciebie — powiedział — aby rozważyć kwestię, czy rzeczywiście walcząc z automatami popełniamy aż tak wielkie przestępstwo i czy rzeczywiście staniemy się przez to groźni dla Cywilizacji.

Ali myślał długo.

— Podobno tak.

— Dlaczego?

— Podobno zaszczepimy na Ziemi nieufność do automatów, podobno zaznawszy smaku wolności w walce stoczonej na własny rachunek nie będziemy zdolni wcisnąć się w ramy Cywilizacji, podobno odseparowanie się od Ziemi i wspólna walka połączy nas węzłami Webera, podobno nasza załoga spojona węzłami zażyłości, przyjaźni i wspólnego przestępstwa ma stanowić groźną potęgę dla Cywilizacji...

— Skąd jesteś taki mądry?

— Właśnie toczy się rozmowa między naszym Głównym Koordynatorem a dowódcą Alfą.

— Nie rozumiem, przecież jest tylko jeden Główny Koordynator ekspedycji!

— Niestety, Alfa go nie uznała.

— I o czym mówią?

— Człowieku — odpowiedział Ali — to rozmowa nadprzeciętnych! Zrozumiałem tylko piąte przez dziesiąte...

— Czy mógłbyś ich rozmowę przełączyć na głośnik? — poprosił Dik.

— Proszę bardzo, sam jestem ciekaw...

„... potrzebna tu dyskusja, skoro wszystko jest tak jasne i proste” — mówił jeden głos.

„Ja ratuję ludzi — mówił drugi. — Dla mnie człowiek jest najważniejszy.”

„My też ratując Cywilizację ratujemy ludzi.”

„A więc powiem wam wprost, nigdy nie pozwolę na to, aby jeden człowiek był środkiem do urzeczywistnienia celów innego człowieka. Jeśli warunkiem istnienia Cywilizacji jest składanie ofiar z ludzi, to niech zginie Cywilizacja.”

„Ależ ludzie od tysięcy lat ginęli za ojczyznę, za miasto, za plemię, za rodzinę, za religię, za ideały społeczne...”

„Nie, nieprawda, ci ludzie, którzy walczyli dobrowolnie, ci, którzy nie byli gnani do walki batogiem, walczyli za siebie...”

Ali wyłączył głośnik.

— Rozumiesz coś? — zapytał.

— Przyznaję, że niewiele.

14

Miszę wezwano do ambulatorium. Kiedy się tam zjawił, jednym z czekających na niego okazał się Tom.

— Nareszcie się przywlokłeś — zawołał. — Pospiesz się, włóż na siebie biały kitel! Poza tym podziękuj mi. Będiesz brał udział w akcji, którą długo popamiętasz.

Jakiś starszy mężczyzna dał ręką znak i ruszył w kierunku wyjścia. Za nim udał się nieznajomy młody człowiek, najwidoczniej stały pracownik ambulatorium, następnie Tom i Misza.

Na korytarzach był ruch, odczuwało się przytłumione podniecenie. Wszyscy pracowali bardzo intensywnie. Pomieszczenia rekreacyjne, przez które przechodzili, świeciły pustką.

Wreszcie stary człowiek w białym kitlu otworzył jakieś małe drzwiczki i zniknął za nimi. Kiedy przyszła kolej na Miszę, zobaczył, że każą mu zejść w ciemną czeluść.

— Tom — powiedział szeptem — czy tu nie ma windy?

— Tak, to jest jedyne miejsce, gdzie nie ma windy. Ale to nic nie szkodzi, zażyjemy przynajmniej trochę gimnastyki.

Schodzili po drabinie dość długo, potem pokonali niski i ciasny korytarz, w którym mężczyzna słusznego wzrostu ledwie się mieścił. Na końcu korytarza widniało coś na kształt klapy zamykającej kotły wysokiego ciśnienia. Stary człowiek manipulował długo przy zamku. Wreszcie cichy szcęk obwieścił czekającym, że okrągłe i opancerzone drzwi zostały otwarte. Za klapą nie było żadnego przejścia, a jedynie niewielka wnęka.

Stary człowiek dał znak swojemu pomocnikowi. Ten wcisnął się do swej wnęki. Okrągłe drzwi na powrót zostały zamknięte.

— Co się tu dzieje? — zapytał Misza. — Nie przypuszczałem, że na naszym statku istnieją takie zakamarki.

— Szczegółów nie znam — odpowiedział Tom. — ale domyślam się, że czekają nas bardzo interesujące przeżycia.

Kiedy znowu otwarto pancerne drzwi, ukazała się za nimi, jak poprzednio, pusta wnęka.

— Następny — powiedział stary człowiek.

Tym razem we wnęcie umieścił się Tom. Kiedy przyszła kolej na Miszę, skonstatował, że znajduje się w czymś, co przypomina wielki walec, który z dużą szybkością porusza się w cylindrze o kilkunastometrowej długości. Po gwałtownym zahamowaniu ściana zamykająca go w zasobniku odsłoniła otwór podobny do tego, który na górze zamykano pancernymi drzwiami. Obok stał Tom i nieznajomy w białym fartuchu.

Pomieszczenie, w którym się znaleźli, było dużą komorą przypominającą na pierwszy rzut oka archiwum czy też wielki katalog biblioteczny z dziesiątkami szuflad.

— Tom, do licha, co to jest? — zapytał Misza. — Dlaczego tu tak zimno?

— To jest coś takiego, czego nigdy nie ujrzałbyś żyjąc w spokojnych czasach.

Misza ujął uchwyt jednej z szuflad i usiłował zajrzeć do jej środka. O ile jednak przystąpił do tej operacji z właściwą flegmą, o tyle spojrzawszy na zawartość szuflady zatrzaskał ją gwałtownie.

— Co się stało? — zapytał Tom powstrzymując uśmiech.

Misza patrzył na niego okrągłymi z przerażenia oczami.

— Tam są ludzkie nogi...

— A tak — odpowiedział nieznajomy — niektórzy leżą nogami w naszym kierunku, a inni odwrotnie.

— Te wszystkie szuflady wypełnione są ludzkimi zwłokami?

— Nie. To są po prostu ludzie, którzy zostali swojego czasu wykluczeni ze społeczeństwa, a następnie zdrętwieni.

— Po co ich ze sobą taszczy?

— Każdy statek kosmiczny zabiera ze sobą z Orpheusa kilkadziesiąt takich ciał, zdarza się bowiem, że trzeba użyć człowieka w jakichś szczególnie niebezpiecznych sytuacjach.

— A więc można przywrócić ich życiu?

— Oczywiście, i właśnie po to tu jesteśmy. Sytuacja jest wyjątkowa. Aby odzyskać władzę nad automatami, potrzeba nam jak najwięcej ludzi, a ściślej, mózgów ludzkich. Mamy ich tu kilkadziesiąt, niekiedy bardzo wysokiej klasy.

— A co my mamy do tego?

— Zaraz wam wyjaśnię — powiedział pomocnik. — A więc po pierwsze — rzecz polega na tym, że przechowywanie ciał odbywa się zawsze w absolutnej tajemnicy. Dlatego te drzwi pancerne, kombinacje hasel przy ich otwieraniu, cylindry z pneumatyczną windą i dziesiątkami innych zabezpieczeń, których nie zauważyliście. Po drugie, nikt nie przewidywał, że potrzeba będzie w możliwie krótkim czasie przywołać do życia kilkadziesiąt ciał naraz. Planowano, że będzie się ich oddrętwiało po jednym albo po dwóch. Po trzecie: tu, gdzie stoimy, jest tylko jeden inkubator, dlatego też musimy możliwie szybko wyekspediować ciała na górę, gdzie przygotowano już kilkanaście zapasowych inkubatorów. I właśnie ekspedycja ciał na górę będzie waszym zadaniem. A więc do dzieła, chłopcy, bo ostre skały Septimy II są coraz bliżej.

Zabrano się ochoczo do pracy. Opróżniono pierwszą szufladę i ciała w niej się znajdujące ułożono w inkubatorze.

— Jak długo trwa oddrętwianie? — zapytał Tom.

— Jedenaście minut i dwadzieścia trzy sekundy — odpowiedział młody nieznajomy.

Następne ciała Misza i Tom przynosili do pneumatycznego zasobnika, którym się tu dostali, i ekspediowali je na górę. Po wysłaniu dziesięciu ciał udali się za nimi, aby dostarczyć kadłuby z zatłoczonego zewłokami korytarza do ambulatorium.

Praca była niezwykle ciężka, jednakże akcja przebiegała wartko. Misza i Tom przeciężyli najpierw ciasny korytarz, następnie ciała windowali za pomocą liny. Misza jako silniejszy ciągnął, a Tom wspinając się po klamrach dbał o to, aby kadłuby nie uległy uszkodzeniu.

Wszystkiego bym się spodziewał — myślał Misza — ale nigdy tego, że będę miał do czynienia z tajemnicą Orpheusa. Orpheusie, straszna gwiazdo, gdzie teraz jesteś? Pewnie krąży wokół Ziemi rozświetlając mdłym światłem mroki ziemskich nocy. Ludzie nigdy nie patrzyli w jego stronę, nigdy o nim nie mówili, ale zawsze czuli jego obecność.

15

— Wiesz, Tom — powiedział Misza, kiedy w ciasnym korytarzyku przynosili następną partię ciał — zrozumiałem wreszcie coś, czego nie mogłem rozwikłać przez całe życie.

— O czym mówisz?

— O tajemnicy Orpheusa.

— Pociesz się, że i dla mnie są to rewelacje.

— Wyobraź sobie, że szczególnie kiedy byłem bardzo młody, Orpheus działał na mnie jak zhora. Był taki okres, kiedy widok błyszczącego satelity wytrącał mnie z równowagi...

— To chyba przechodził każdy.

— Myślałem sobie wówczas, jak to jest, że w zwykłym, sztucznym satelicie można pomieścić miliony ludzi. Teraz rozumiem. Leżą tam zapewne w takich samych szufladach jak ci tutaj.

— Orpheus jest kulą o średnicy jednego kilometra...

— No właśnie, zważywszy, że jedno ciało nie zajmuje nawet metra sześciennego, może się tam zmieścić nawet miliard ciał. Słyszysz? Miliard ciał. Teraz rozumiem, gdzie się podziwiali ci ludzie, których SKP oceniał jako nieprzydatnych dla Cywilizacji.

— Aż strach pomyśleć, miliony szuflad...

Obaj byli zmęczeni. Ciasne przejścia niezwykle utrudniały pracę i czyniły ją nad wyraz wyczerpującą.

Wreszcie Misza zapytał:

— Tom, męczy mnie od jakiegoś czasu pewna zagadka. Otóż zastanawiam się, po co Cywilizacja toleruje urządzenia, które wyraźnie są przestarzałe... które świadczą o jakimś skostnieniu... o jakimś zatrzymaniu się w rozwoju. Pamiętasz naszą rozmowę o SKP? Przecież w gruncie rzeczy utrzymywanie takiej instancji to nonsens! Nie zaprzeczysz, że stać nas na lepsze urządzenia. Gdyby to ode mnie zależało, po prostu zainstalowałbym w mózgu każdego osobnika zamieszkującego kulę ziemską odpowiednie elektrody i byłoby po krzyku. Kierowałbym zdalnie milionami, ich postępowanie byłoby niezawodne. Cywilizacja wyzbyła się strachu przed schorzeniem Webera i wszystko szłoby jak w zegarku. Wyjaśnij mi więc, proszę, po co to SKP, które przecież i dużo kosztuje, i nie wypełnia należycie zadania kontroli? A teraz te szuflady? No, niech mi kto wytłumaczy, jaki sens ma zdrętwianie tych tutaj? Jeśli są zbędni, wystarczyłoby ich unieszkodliwić bardziej gruntownie.

— Kto wie — odpowiedział Tom — gdyby tak mocniej podrapać, to okazałoby się, że ty i ja, i wszyscy jesteśmy także zbędni, tak, wszyscy, i ci przestępcy, i nie przestępcy, i ci normalni, i nienormalni. Może dlatego w pewnych sprawach świadomie wstrzymujemy rozwój niektórych urządzeń.

— Nie chcesz mi tego wyjaśnić, czy po prostu nic o tym nie wiesz?

Tom spojrzał badawczo na towarzysza.

— Rzeczywiście nie mogę ci tego wyjaśnić. Jestem wprawdzie humanistą, ale nie nadprzeciętnym i nie są mi znane wszystkie tajniki Cywilizacji. W każdym razie mogę ci zdradzić tajemnicę, że wśród nielicznych praw kardynalnych ludzkości istnieje tak zwane prawo ostatniego progu. Obowiązuje ono między innymi lekarzy, biologów, psychologów... Nie jest zatem wykluczone, że te pozornie nonsensowne zjawiska wynikają ze stosowania tego prawa. Najwidoczniej Cywilizacja zakresliła sobie w stosunku do jednostki jakieś granice, których nie wolno przekroczyć.

— Po co?

— Skoro takie prawo istnieje, najwidoczniej jest bardzo potrzebne. Cywilizacja nie narzucałaby sobie ograniczeń, gdyby to nie wynikało z jej wszechmocnego rozumu.

— No więc po co, u licha, szarpie się? Po co śledzi, pilnuje, sądzi, zdrętwia i oddrętwia? Po co to wszystko?

— Pamiętaj, że nie jesteśmy nadprzeciętnymi i wielu spraw nigdy nie pojmiemy.

— No, Tom, wreszcie ostatni zewłok — powiedział Misza. — Jestem cały mokry od potu.

16

Niestety, odpoczynek nie był im sądzony. Skoro tylko odtransportowali ostatnie ciało, natychmiast zostali wezwani do ambulatorium.

Kiedy się tam stawili, stary człowiek, który ich zaprowadził do komory więźniów Orpheusa, przyjrzał im się bacznie.

— Który z was jest humanistą? — zapytał.

— Ja — odpowiedział Tom.

— Weź swojego towarzysza i przejdź do następnego pomieszczenia. Tam spośród odrętwionych wybierzesz dwóch najlepszych. Niewiele już zostało, bo większość wysłaliśmy do ratowania automatów.

Tom i Misza udali się we wskazanym kierunku i znaleźli się w obszernym pomieszczeniu. Tutaj na kilkunastu stołach ustawiono szereg podłużnych skrzyń połączonych z jakąś skomplikowaną aparaturą, wśród której zauważyli także aparaty tlenowe.

— Przecież to są trumny — powiedział Misza.

— Trumny, które tym razem służą życiu — odrzekł Tom.

Zbliżyli się do trumien, zamienionych na prowizoryczne inkubatory. Miały szklane wieka, przez które widać było ciała ludzkie.

Misza patrzył na nieruchome twarze. Leżeli spokojnie. Ich kamienne rysy stanowiły rażący kontrast z pilnującym wszędzie podnieceniem i gorączkową krzątaniną.

Przechodzący osobnik w białym kombinezonie uśmiechnął się do Toma i Miszy.

— Dziwią was te trumny?

— W naszej sytuacji nie bardzo mamy czas na zdumienie, ale przyznaję, że to niecodzienny widok — odpowiedział Tom.

— Użyliśmy transporterów zwłok do zainstalowania prowizorycznych inkubatorów.

Miszy znowu stanęło przed oczyma ziemskie niebo, po którym sunął wśród nieruchomych gwiazd Orpheus. Misza nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek wprost patrzył na satelitę, a mimo to doskonale pamiętał ten widok. Pamiętał również, że nauczono go nienawidzić tych, którzy znajdowali się w jego wnętrzu. Byli to przecież wrogowie Cywilizacji. Bał się ich, ale jednocześnie cieszył, że za bunt strąceni zostali bezpowrotnie w kosmiczną otchłań.

Tom najwidoczniej snuł podobne rozważania, bo kiedy zbliżył się do nich znany im starzec, zapytał:

— Czy nie obawiacie się tych z Orpheusa?

Zagadnięty popatrzył na Toma zdziwiony.

— Czy po przebudzeniu — pytał dalej Toin — nie spróbują uderzyć na nas i opanować statku, sądząc, że nadarzyła się po temu znakomita okazja?

Starzec uśmiechnął się tylko i bez słowa ruszył dalej.

Tymczasem wokół inkubatorów powstał gorączkowy ruch. Ludzie w białych skafandrach manipulowali przy aparaturze, a inni z uwagą obserwowali wnętrza inkubatorów. Człowiek, który leżał w zasięgu wzroku Toma i Miszy, również się zmienił. Niby leżał, tak jak przedtem, nieruchomo, a jednak zmiany były widoczne. Ciało odprężyło się i pozbywało jakiegoś wewnętrznego skurczu. Jeden z obsługujących otworzył pokrywę i szybko wbił strzykawkę w obnażone ramię leżącego. Wieko zostało znów zamknięte, a specjaliści bezustannie śledzili liczne wskazówki, podziałki i ekrany, którymi aparatura przekazywała im tylko znane sygnały. Wreszcie na jakiś znak szybko zdejmowano szklane wieka i opuszczano inkubatory wraz ze stołami na ziemię.

Obserwowany przez Toma i Miszę człowiek nagle odetchnął i otworzył oczy. Patrzył chwilę na sufit, potem uniósł się na łokciu i uważnie rozejrzał się dokoła. Zdawało się, że spokojnie wstanie. Tymczasem jego twarz przybrała nagle wyraz zwierzęcego strachu.

— On zrozumiał — powiedział Tom. — Zrozumiał, w jakiej jest sytuacji. Zachowuje się jak człowiek, który zasypiając zapomniał o swoim nieszczęściu. Po przebudzeniu przypomnienie nieszczęścia jest w dwójnasób bolesne.

W innych inkubatorach również zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Odzyskujący świadomość ludzie rzucali się na dno trumny, jak gdyby pragnęli się przed kimś ukryć. Inni jak zwierzęta, na czworakach, kryli się po kątach patrząc nieprzytomnymi oczyma na obsługę ambulatorium.

— To jest normalna reakcja — powiedział ów młody człowiek, z którym przed chwilą taszczyli ciała do ambulatorium. — Kiedy się budzą, strach odbiera im wszystkie inne uczucia. Żaden niewolnik czasów starożytnego barbarzyństwa nie upadał tak nisko jak ci z Orpheusa. Ba, żaden pies nie był bardziej pokorny wobec swojego pana od tych trupów ożywionych strachem.

Rzeczywiście, więźniowie Orpheusa przestali ukrywać się pod stołami i po kątach, natomiast rozpełzli się po sali starając się zbliżyć do zatrudnionych w ambulatorium. Misza obserwował, jak ku nim czołgało się dwóch osobników. Sunęli na brzuchach usiłując zająć

jak najmniej miejsca. Na ich twarzach zwierzęce przerażenie mieszało się z przypochlebnym grymasem. Im bardziej się zbliżali do stojących, tym posuwali się wolniej. Wreszcie poruszali się prawie niepostrzeżenie i tylko ich rozbiegane oczy rejestrowały każdy ruch, każdy oddech stojących. Zdawało się, iż nic nie uszło uwagi ich błyszczących źrenic.

— Dlaczego oni tak się czołgają? — zapytał Misza szeptem.

— Nigdy nie byłem w ich sytuacji, ale domyślam się, że zabija ich absolutna bezradność. Poza tym wiedzą, że jesteśmy ich nieograniczonymi panami. Domyślają się, że skoro ich obudziliśmy, to nie dla zabawy. Wprawdzie więźniów zabijać nie wolno pod żadnym pozorem, ale słyszałeś chyba, że w sytuacjach grożących wyjątkowym niebezpieczeństwem używa się ludzi z Orpheusa. Oni prawdopodobnie również o tym wiedzą i dławili ich przerażenie.

W tej chwili jeden z pełznących objął nogi Miszy i przytuliwszy twarz do jego kolan pozostał nieruchomy.

17

Tom dowiedział się, iż dwaj osobnicy, których miał wybrać spośród więźniów Orpheusa, są przeznaczeni do obsługi jednego z pojazdów, którym być może trzeba będzie poruszać się po powierzchni Septimy II. Zalecano zatem, aby byli to ludzie młodzi, silni i o możliwie mocnym systemie nerwowym.

Kiedy Tom zaczął chodzić wśród czołgających się, oglądając jednego po drugim szczegółowo, ci znieruchomieli jak zwierzęta, które nie mają innego wyjścia jak tylko udać martwość. Leżeli tu i tam na posadzce, mali i rozpląszczeni.

Oni teraz wyobrażają sobie — myślał Misza — że Tom to potęga, to ich bóg i nieograniczony władca, który wybiera ich na śmierć. Niepotrzebnie bałem się Orpheusa. Gdybym wiedział, co potrafią tam zrobić z owych sławnych buntowników, o których rozmawiało się szeptem, nie patrzyłbym na jego światło z przerażeniem.

Tymczasem Tom dostrzegł w jednym z inkubatorów osobnika, który siedział spokojnie, rozglądając się po sali. Jego twarz, pomarszczona skóra i sflaczałe mięśnie świadczyły o podeszłym wieku.

— Dlaczego się nie czołgasz? — zapytał Tom.

Osobnik w inkubatorze uśmiechnął się.

— Gdyby wszyscy tu obecni — powiedział — trzymali stopę wyżej głowy, zapytałbyś, dlaczego nie trzymam stopy wyżej głowy?

Uśmiechnęli się obaj.

— Chciałbym ci powiedzieć — rzekł Tom — że nie jestem ani też nie zamierzam być twoim prześladowcą.

— Domyślam się. Musicie być w bardzo trudnej sytuacji, skoro zdecydowaliście się nas oddrętwić.

— Nie będę ukrywał. Spadamy na planetę zwaną Septima II. Co gorsza, owo spadanie nie zostało spowodowane awarią urządzeń. Po prostu ktoś z zewnątrz opanował nasze automaty, a uprzednio zniszczył jeden spośród trzech statków eskadry.

— Rozumiem. Spozregliście, co się święci, i teraz pracujecie nad oczyszczeniem automatów z obcej dyspozycji.

Tom wyciągnął pudełeczko z biotenitem.

Tamten odsunął jego rękę.

— Sądziś, że się boję i potrzebuję uspokojenia? Mój chłopcze, gdybym był taki jak inni, pełzałbym w tej chwili jak pies, ale widzisz, ja jestem człowiekiem wolnym. Najmniej-

szy lęk to zależność, to niewolnictwo. Wyzbądź się strachu, a dopiero wówczas zrozumiesz, co to wolność. Ale nie czas teraz na pogawędkę. Powiedz mi, jak to się stało, że w ogóle doszło do naszego rozbudzenia? Co na to SKP?

— SKP jest unieszkodliwiony — odpowiedział Tom. — Poza tym musieliśmy stworzyć wprawdzie prowizoryczną, ale własną organizację, gdyż jak ci mówiłem, automaty na razie unieszkodliwiono.

— Jak sądzisz, ozy zdążycie je oczyścić?

— Trudno mi cokolwiek powiedzieć na ten temat, ale odzyskane mózgi elektronowe pomagają nam, a zatem nasz stan posiadania rośnie w postępie geometrycznym.

— Kiedy nastąpi zderzenie?

Tom spojrzął na zegarek, małe białe cyferki nieubłaganie wyskakiwały w czarnym okienku.

— Jeśli to nastąpi — powiedział — to nasza wędrówka skończy się za czternaście minut i dwadzieścia osiem sekund.

— Czego się spodziewasz po mnie? — zapytał starzec.

— Nakazano mi wyszukanie dwóch osobników do obsługi pojazdów napowierzchniowych. Zlecono mi przy tym, abym wybierał ludzi młodych.

— Niewiele mi na tym zależy, ale wygląda na to, że los oddał mnie w twoje ręce. Popatrz, innych już dawno zabrano do automatów. Został ci tylko tamten spod ściany.

Podeszli do leżącego w inkubatorze młodego mężczyzny.

— Człowieku, wstawaj — powiedział Tom — jesteś mi potrzebny.

Mężczyzna nawet nie drgnął, leżał nadal spokojnie, ledwie spojrzawszy na Toma.

— Czy on jest chory? — zapytał Misza, który w międzyczasie podszedł do Toma.

— Nie — odpowiedział starzec — po prostu nie chce iść. Przemów do niego — tu zwrócił się do Toma — w taki sposób, jak to zrobiłeś do mnie, a z całą pewnością porozumiecie się.

Tom spokojnie przedstawił leżącemu sytuację ekspedycji i poprosił, aby wstał i udał się za nim. Mężczyzna wprawdzie nadal milczał, ale już się nie upierał.

Ruszyli do garaży pojazdów powierzchniowych i tam zajęli wskazane im miejsca.

— Wygląda na to, że już nic nie będziemy robić, a doprawdy wołałbym właśnie teraz czymkolwiek się zająć — powiedział Misza zażył podwójną porcję biotenitu.

Obaj więźniowie siedzieli spokojnie, widać jednak było, że i oni podnieceni są oczekiwaniem.

Tom raz jeszcze zaproponował im biotenit, a kiedy spotkał się z odmową, zapytał:

— Nie chcę być nadto ciekawy, ale czy nie zechcielibyście mi wytłumaczyć, skąd się bierze wasz spokój i dlaczego nie zachowujecie się jak inni?

— Nietrudno na to odpowiedzieć — powiedział starzec, ale nie dokończył. Wszystkie znajdujące się w garażach wideofony rozbłysły tańczącymi zygzakami.

18

W chwilę potem na ekranie ukazała się twarz człowieka, który w swoim czasie ogłosił się Głównym Koordynatorem.

— Uwaga, uwaga — mówił — tu Główny Koordynator ekspedycji numer 2659. Informuję Was, że kilkanaście sekund minęło od chwili, kiedy towarzyszący nam statek zetknął się z powierzchnią Septimy II i uległ rozbiciu. Na tyle udało się nam opanować mechanizmy, że zdołaliśmy odchylić nieco tor lotu. Uniknęliśmy zatem katastrofy, niemniej jesteśmy zmuszeni wylądować na Septimie II. W związku z tym zarządzam alarm numer 6.

Mimo zażywania biotenitu napięcie musiało być bardzo wysokie, skoro ludzie na wieść o uniknięciu katastrofy zapomnieli o swoich obowiązkach.

— Uwaga, uwaga — mówił dalej Główny Koordynator — alarm numer 6 dotyczy tylko wzmożonej czujności w trakcie lądowania, niemniej proszę nie zapominać, w jakich okolicznościach lądowanie to się odbywa. Uwaga, uwaga, nie wiemy, co nas czeka na Septimie II.

Oszołomienie przeszło szybko. Zdawano sobie sprawę z tego, że tylko największy zbiorowy wysiłek całej załogi i odzyskanych automatów może uratować statek przed katastrofą. Tylko Tom i Misza próżnowali, gdyż po wykonaniu pracy wymagającej wielkiego wysiłku fizycznego nie byli zdolni do przedsięwzięcia jakiegokolwiek nowego zadania.

Wreszcie lądowanie szczęśliwie zakończono. Obwieścili o tym głośniki wideofonów.

— Jednak nam się udało — powiedział Misza — a już sądziłem, że minuty nasze są policzone.

— Tamci z innych statków zaginęli — dodał Tom.

— Dlaczego? — zapytał starzec z Orpheusa.

— Nie śmieli targnąć się na swoje automaty. Wierzyli w nie całe życie...

W tej chwili całym statkiem wstrząsnęły trzy następujące po sobie detonacje.

— Septima II nie próżnuje.

Wszyscy zatrzymali wzrok na ekranie wideofonu, ale ten milczał, najwidoczniej wydarzenie było zbyt błahe, aby się nim zajmował Główny Koordynator.

— Nasze ekrany — dodał Tom — nie przepuszczą żadnego pocisku.

W tym momencie znowu zawibrowały ściany statku.

— Całe szczęście, że te detonacje nie odbywają się w atmosferze ziemskiej, prawdopodobnie odczulibyśmy je znacznie boleśniej.

Zaraz potem w garażu zjawił się potężny mężczyzna. Za nim wszedł Dik i jakiś nieznamy osobnik.

Dryblas bez żadnych wstępów oświadczył, że jest dowódcą wozu. Następnie przystąpił do rozdzielania ekwipunku. Ze znajomością rzeczy objaśniał przeznaczenie i funkcjonowanie różnych przyrządów, a na koniec, przy rozdawaniu podręcznych wibratorów, pytał o zawód i imię. Osoby Miszy i Dika nie wzbudziły w nim zastrzeżeń, ale kiedy stanął przed nim Tom, zaczął wydziwiał.

— Co? Humanista? Czy ci w Koordynacji oszaleli? Co ja pocznę z humanistą?

— Wodzu — odpowiedział Tom uśmiechając się po swojemu — popełniasz błąd, którym grzeszyli wojskowi wszystkich czasów. Nie doceniasz czynnika intelektu w zespole ludzi wojujących.

— Wolę mieć dwóch techników aniżeli pięciu humanistów — powiedział dowódca.

— Mówiąc tak zdradzasz się tylko ze swoją niekompetencją. Zapamiętaj sobie, że pewien wielki barbarzyński strateg, zwany swojego czasu filozofem wojny, powiedział, że wyżej ceni kampanię deliberujących studentów aniżeli kompanię krzepkich i karnych parobków.

Dowódca ruszył tylko ramionami i zwrócił się do starego więźnia z Orpheusa.

— A ty, dziadku, skąd się tu wzięłeś?

Starzec uśmiechnął się pogodnie.

— Nazywam się Solon i jestem nadprzeciętnym humanistą, ściślej, dozorcą automatów wykładających na pewnym Uniwersytecie w Australii. Ostatnio przebywałem na Orpheusie.

Usłyszawszy to, dowódca natychmiast zmienił ton.

— Przestałeś być nadprzeciętny, dziadku, skoro przybywasz z Orpheusa! W dodatku znowu humanista, i to ledwo powłóczy nogami! A ty, byku, czy też jesteś humanistą? — tu dowódca zwrócił się do młodszego z więźniów.

Ten jednakże siedział na swoim miejscu nieporuszony i zachowywał się tak, jakby nie słyszał, co mówią do niego. Dowódca krzyknął raz jeszcze, a potem wpadł w wielki gniew.

— Ofermo, posiadam takie pełnomocnictwa, że jeśli tylko mi się spodoba, rozpylę cię

na mgławicy obłok i nikt mi nawet jednego słowa nie powie!

Młody więzień dalej siedział spokojnie, z zaciekawieniem przyglądając się dowódcy odbezpieczającemu podręczny wibrator.

Tu wtrącił się Solon.

— Wodzu, szkoda czasu na straszenie tego człowieka. Nie bał się Cywilizacji, nie bał się Orpheusa i SKP, nie przeląkł się, kiedy go oddrętwiano, nie będzie się bał i ciebie.

— A więc wariat!

— Nie, nie wariat. Po prostu konsekwentny amator wolności.

— O czym wy bredzicie? Co mają ze sobą wspólnego strach i wolność?

— Wodzu mój, twoja ignorancja jest niebotyczna. Właśnie w tym rzecz, że dwa te zjawiska wykluczają się wzajemnie.

Dowódca ruszył ramionami.

— Ja się taśm nie znam na tych waszych humanistycznych subtelnościach. Powiedźcie mi przynajmniej, jak się ten wariat nazywa.

— Quetzalcoatl.

— Jak?! — krzyknął dowódca.

— Quetzalcoatl.

19

Główny Koordynator oznajmił załodze, iż po bezowocnych atakach raketowych Septima II spróbuje zapewne zniszczyć. Deltę innymi sposobami, dlatego też należy stworzyć wokół statku kordon bezpieczeństwa. Kordon ten byłby zdolny zlikwidować każdy bezpośredni atak, przynajmniej aż do momentu, kiedy reszta automatów zostanie unieruchomiona i będzie można poderwać Deltę do lotu na Ziemię.

Natychmiast po komunikacie Głównego Koordynatora dowódcy przekazano odpowiednie dyspozycje i pojazd najpierw znalazł się w wyrzutni, a w chwilę potem wraz z innymi pojazdami mknął na wyznaczone stanowiska. Raz po raz przelatywali nad przepaścistymi wąwozami i ostrymi załomami skał. Dwie wielkie gwiazdy zawieszane nad horyzontem oświetlały mdłą poświatą surową powierzchnię Septimy II. Wreszcie po minutowej jeździe pojazd osiągnął jedno z najwyższych w okolicy wzniesień. Umieszczono go między głazami, a załoga przyświecając sobie reflektorami penetrowała najbliższe otoczenie.

Ze wzniesienia rozciągał się rozległy widok. Delta znajdowała się wprawdzie wśród wielkich załomów skalnych, ale jej górna część była doskonale widoczna. Natomiast po przeciwległej stronie, tam, skąd mógł nastąpić atak, Skaliste wzniesienie urywało się stromą skarpią schodzącą do rozległej i płaskiej jak stół doliny.

Po zwiedzeniu najbliższego otoczenia natychmiast zabrano się do roboty. Ustawiono automaty strażnicze i zsynchronizowano je z tymi, które były instalowane przez inne posturunki, ustawiono ekrany, wreszcie szczegółowo rozdzielono pola obstrzału. Tą ostatnią czynnością zajęli się dowódca i jego zastępca z ekipy niszczycieli, toteż reszta towarzystwa mogła swobodniej rozejrzeć się po okolicy. Dik oglądał odłamy skał. Misza przełączył szkła w swoich okularach i obserwował otaczające wzgórze Tom rozmawiał o czymś z Quetzalcoatlem. natomiast Solon patrzył w rozgwieżdżone nieznany konstelacjami niebo.

— Gdzie się znajduje Ziemia? — zapytał.

— Jesteśmy tak bardzo od niej oddaleni, że już dawno nie widzieliśmy naszego Słońca — odpowiedział Dik.

— Może byś mi przynajmniej pokazał, w której stronie nieba znajduje się nasza ojczyzna.

Dik z zakłopotaniem rozłożył ręce.

— Niestety, jestem specjalistą od uzwojeń Marone'a, o nawigacji nie mam pojęcia.

Stary człowiek milczał i długo patrzył w czarne niebo.

Ciekaw jestem. o czym marzy ten starzec? — pomyślał Dik. — Czy podobnie jak ja pragnąłby chociaż raz zanurzyć się w powietrzu albo w wodzie, albo w śniegu? A może chciałby pogłaskać ręką zielone trawy albo chociażby poczuć dłonią szorstki i obrośnięty porostami pień starego dębu?

Po zakończeniu wszystkich koniecznych instalacji dowódca zezwolił załodze na odpoczynek, sam natomiast pozostał, aby dyżurować i kontrolować automaty wartownicze.

Udano się więc do wnętrza wozu i uwolniono zmęczone ciała od skafandrów.

— Jestem ogromnie ciekaw, jak wyglądają nasi wrogowie? — powiedział Dik.

— Co gorsza — dodał Misza — nie czuję do nich najmniejszej niechęci. Przecież to pierwsi nasi towarzysze w kosmosie. Tom, przypominasz sobie pewną naszą rozmowę? Mówiłeś wówczas, że barbarzyńcy nie byli samotni, bo Ziemia stanowiła siedlisko różnorodnego tłumu ludzkiego. O ile cię dobrze zrozumiałem, na Ziemi mówiło się my, oni, bliżsi oni, dalsi oni, znani oni, nieznani oni itd., obecnie natomiast jesteśmy tylko my, jedni i niepodzieleni, w dodatku znani do granic możliwości. Teraz, kiedy znaleźliśmy Septimę II, znowu nie jesteśmy samotni. Znowu są jacyś oni, nieznani, tajemniczy i posiadający swój własny los. Czy to nie cudowne?

— Jesteś tylko technikiem — powiedział Tom — a mimo to zupełnie niezłe rzecz tę przedstawiłeś.

Solon, który już zasypiał, odwrócił się teraz na swoim hamaku.

— Oczywiście, nie kończą się na tym przyczyny naszych dolegliwości — powiedział — ale jeśli chcemy żyć, nie ma innej rady, musimy być samotni.

— Dlaczego? — zapytał ktoś.

Solon zamyślił się.

— To nie jest taka prosta sprawa — stwierdził. — Jak wiecie, jestem nadprzeciętnym i dlatego nie bardzo wiem, w jaki sposób mógłbym się z wami porozumieć.

— Czy nigdy nie rozmawiałeś z przeciętnymi?

— Nigdy, bo i po co? Nigdy od was niczego nie potrzebowałem ani też niczego nie dowiedziałbym się od was nowego... Rozumiecie teraz, że lepiej będzie, jeśli Tom opowie wam coś o przyczynach ogólnoludzkiego kompleksu samotności.

Ludzie czas jakiś trwali w zadumie. Ogólne milczenie przerwał Misza.

— No więc opowiadaj, Tom. SKP nie działa, korzystajmy z okazji.

— Oczywiście Solon ma rację. Przyczyny, dla których w przeciwieństwie do barbarzyńców czujemy się osamotnieni, są liczne. Wiecie o tym, że jedną z istotnych cech barbarzyństwa była powszechna walka wszystkich przeciwko wszystkim. Oczywiście aby walczyć skutecznie, należało łączyć się w grupy. I tu właśnie powstała paradoksalna sytuacja. W tym walczącym, zdawałoby się — krwiożerczym i nieprzyjaznym świecie, członkowie jednej grupy połączeni byli uczuciami szczególnego rodzaju, uczuciami, które wykluczały wrażenie samotności.

— Schorzenie Webera...

— Tak. Dzisiaj nazywamy to schorzeniem Webera, warunki bowiem zmieniły się tak dalece, że uczucie przyjaźni czy wierności jest nie tylko niepotrzebne Cywilizacji, ale nawet dla niej szkodliwe.

— Już mówiliśmy o tym.

— Tak, mówiliśmy, dlatego tylko dodam, że być może za sto, a może dwieście lat przestanie kusić nas schorzenie Webera i wówczas będziemy szczęśliwi, a Cywilizacja osiągnie wreszcie swój cel i będzie się składała z iluś tam miliardów obcych i obojętnych sobie, ale za to idealnie podporządkowanych władzy obywateli.

— Każdy tyran niechętnie patrzy na przyjaźń swoich poddanych — powiedział Quetzalcoatl.

20

Ludzie w hamakach milczeli. Każdy na swój sposób i w zależności od liczby stopni Gandta przetrwał zasłyszane wiadomości.

— Mój Tomie, znakomity humanisto — odezwał się wreszcie Solon — użyczyłeś nam sporo wiedzy o czasach obecnych i o barbarzyństwie, obawiam się jednak, że to nie jest wszystko, o czym mógłbyś opowiedzieć. Wyjaśnij, proszę, swoim przyjaciołom, jak to barbarzyńcy bawili się w tworzenie nowych światów i bohaterów w światach tych żyjących.

— Rzeczywiście — powiedział Tom — nie przyszło mi to na myśl. Istotnie, barbarzyńcy byli rozmiłowani w tworzeniu, jak Solon nazywa, nowych światów. Zaczęło się chyba od tego, że kiedy człowiek po raz pierwszy uświadomił sobie, jak wiele pytań musi pozostać bez odpowiedzi i jaka nieprzemierzona otchłań rozpościera się nad nim i pod nim, załatwił się z tym problemem szybko i w sposób nieoczekiwany. Po prostu wszystkie luki swojej niewiedzy zasłonił najprzeróżniejszymi kolorowymi mitami i zaludnił tłumem demonów i naddemonów...

— Chyba nie będziesz próbował nam wmówić, że serio traktowali wydumane przez siebie bajki — przerwał mu Misza.

— Właśnie, wygląda to na bajkę o żelaznym wilku, ale tak było. Nic na to nie poradzę. Barbarzyńcy szczerze wierzyli w te demony, modlili się do nich, przekupywali je, często szantażowali, zyskiwali ich protekcję albo im się narażali. Towarzyszyły im również inne postacie. Na przykład zdarzało się, że jakaś jednostka zaważyła na losach zbiorowości, a sympatia i uczucie przyjaźni dla niej trwało niekiedy przez setki lat. Dochodziło do tego, że niedobitki licznych niegdyś grup nie traciły kontenansu, a ich pewność siebie podtrzymywana była przez liczną armię cieni, które żyjący podziwiali i lubili.

— Trochę to śmieszne, ale jednocześnie miłe — powiedział Misza. — Sam chętnie darzyłbym przyjaźnią jakąś sympatyczną postać z przeszłości. Nie posądzono by mnie o schorzenie Webera, a zawsze miałyby się przynajmniej w myślach kogoś bliskiego.

— Jesteś naiwny — odezwał się Quetzalcoatl. — Cywilizacja jest i być musi tyranią, a żadna tyrania nie zniesie kultu ludzi, którzy już odeszli, a którzy w jakiś sposób jej nie symbolizują.

Tymczasem Tom ciągnął dalej.

— Barbarzyńcom mało było tego wszystkiego. Raz po raz któryś chwycił za pióro albo za kamerę i tworzył nową fantasmagorię. Dużo i bardzo zawile mówiło się wówczas o wartości tych dzieł, o szkołach, o wzajemnych wpływach, o sztuce, ale ostatecznie chodziło o jedno; o przewyciężenie niemocy i samotności.

— Dlaczego teraz nie oddajemy się podobnym rozrywkom? — zapytał Misza.

— Dzisiaj uprawianie literatury jest niemożliwe. O czym byśmy pisali? No, powiedzcie, o czym? To było dobre wówczas, kiedy wiedza o człowieku i o świecie była ograniczona, a możliwości ludzkie znikome. W miarę jak rosła nasza wiedza o świecie, kurczyła się domena literatury. Najpierw musiały ustąpić mity o bogach, potem bajki o czarnoksiężnikach i krasnoludkach. Kiedy zbadano i wymierzono uczucie miłości, odpadła ogromna dziedzina od tysięcy lat eksploatowana przez literaturę. Opisy walki człowieka z człowiekiem dzisiaj nas nie bawią, a przyroda dawno już została pokonana. Nawet ów najprymitywniejszy rodzaj opowieści, jakim były tak zwane komiksy, czy też literatura fantastyczna, stracił sens, skoro okazało się, że wszechświat to tylko rumowisko wygaśniętych trupów i mniej lub więcej rozgrzanych

mas materii. Oczywiście, nie ulega wątpliwości, że praca nad owymi fantasmagoriami musiała być pasjonująca. Twórca czuł się wszechpotężnym demiurgiem powołującym do życia nowe światy, a jednocześnie pionierem czy też zwiadowcą ludzkości zapuszczającym się w nie zbadane jeszcze dziedziny i przynoszącym coraz to nowy obraz tych zagadkowych stref. Trzeba także przyznać, że mądrość i przenikliwość niejednego z owych demiurgów była olbrzymia. Przedstawiali oni swój obraz świata niekiedy tak trafnie, że dzisiaj nas to zadziwia.

Głos zabrał Solon.

— Mówisz, że w miarę rozwoju wiedzy ścisłej kurczyły się możliwości literatury pisanej i filmowej. Opowiedz teraz swoim przyjaciółom, jaki rodzaj owych fantasmagorii przetrwał najdłużej.

— Oczywiście tragedia — mówił Tom. — Szczytem twórczości opowiadaczy barbarzyńskich były historie, w których dotykało się lub przeczuwało sprawy ostateczne, niezmiennne i niepodważalne. Tragedia polega na tym, że człowiek walczy ze swoim losem, sądzi, że potrafi go zwyciężyć, tymczasem wysiłki okazują się daremne. Bohaterowie barbarzyńskich tragedii byli podobni szczurom, które aby wydostać się z zamknięcia, uparcie skaczą na ściany klatki, w nadziei znalezienia jakiegoś wyjścia. A jakąż tragedię my moglibyśmy dzisiaj napisać, skoro znamy dogłębnie strukturę owej nieubłaganej ściany-konieczności. Tysiące lat budowaliśmy gmach naszej wiedzy i doświadczenia, aby zakończyć owo bezrozumne miotanie. Niekiedy więzione szczury przestają w końcu skakać i to już koniec ich tragedii.

— A jednak byłoby interesujące, gdyby ktoś opisał nas i nasze przeżycia — stwierdził Misza.

— Ależ zdaje ci się — mówił dalej Tom. — O czym tu pisać? Wszyscy, jak jest nas kilka miliardów, jesteśmy do siebie podobni. Wszyscy do szczytu możliwości wykorzystujemy zasoby naszej inteligencji i wiadomo, że Dik ma czterdzieści parę stopni Gandta, a Misza ponad pięćdziesiąt i nic się tu nie poradzi ani nie zmieni. O każdym z was SKP posiada tak wyczerpujące wiadomości, że nic już do nich nie doda najzdolniejszy barbarzyński demiurg.

— Ale nasza sytuacja, mam na myśli załogę Delty, jest cośkolwiek inna.

— To prawda, ale też dopiero teraz zaczynamy żyć. Okoliczności i konieczność walki z automatami wyrwały nas z paraliżu myśli, jakiemu podlegają wszyscy na Ziemi. Pytamy, rozważamy, dyskutujemy, ale to w odniesieniu do Cywilizacji nie jest sytuacją normalną i dlatego nikt nie chciałby o nas pisać, następnie nikt nie chciałby o nas czytać, a zatem i opowieść o nas nie miałaby sensu.

21

Godziny mijały jedna za drugą, a w okolicy nic się nie działo. Poza dziewięcioma pociskami, które wystrzelono w kierunku Delty, Septima II nie przedsięwzięła żadnych kroków zaczepnych. Ciemny horyzont, nad którym przesuwwały się dwie wielkie gwiazdy, był pusty.

Załoga wozu urozmaicała sobie pobyt na wysuniętej placówce, jak mogła. Odbywano dalekie spacery wśród gładkich i połyskujących skał Septimy II. Rozmawiano zapamiętałe, znajdując w tym wprost zmysłową przyjemność. Wyeliminowanie z ich życia SKP sprawiło, że trwali w stanie jakiegoś nieustającego podniecenia. Doszło nawet do tego, że mało kto sięgał po pastylki biotenitu.

— Solonie — powiedział Misza, kiedy pewnego razu wolna od służby załoga leżała w swoich hamakach — opowiedz nam, co sprawiło, że ty, nadprzeciętny, znalazłeś się wśród więźniów Orpeusa?

— Już od dawna czekałem na to pytanie — odpowiedział Solon — i z przyjemnością opowiem wam moje dzieje. Człowiek pragnie od czasu do czasu komuś się zwierzyć.

— Czy byłeś buntownikiem, jednym z tych strasznych szatanów, którzy czyhali na Cywilizację?

— Nie — mówił starzec — nie buntowałem się ani nie zamierzałem nikogo niszczyć. Nawet mi to w głowie nie powstało. Wiecie przecież, że SKP likwiduje wszelkie odchylenia od obowiązującej normy psychicznej i fizycznej i po prostu odchylenia takie u mnie stwierdzono. Ale do rzeczy. Byłem pracownikiem pewnego instytutu naukowego i moje życie płynęło bez wstrząsów, podobnie jak milionów innych obywateli naszej Cywilizacji. W dodatku byłem nadprzeciętnym, co stanowiło dodatkową przyczynę zadowolenia. Wszystko to skończyło się pewnej nocy, kiedy zbudził mnie głos wideofonu. Spojrzałem na ekran, ale ten był czysty. Słyszałem tylko głos, którego nie zapomnę do końca życia. „Solonie, Solonie — mówił ów głos — słuchaj mnie uważnie. Opiekowałem się tobą do tej pory, ale już jestem stary, i czas, abym wyjawiał ci pewną tajemnicę. Otóż nie jest prawdą, że posiadasz dwieście dwadzieścia stopni Gandta. Twoja inteligencja i twoje możliwości umysłowe sięgają stu dziewięćdziesięciu stopni. Twój atest nie jest zatem zgodny z prawdą.” „Czyżby — zapytałem — automaty oceniające moje możliwości pomyliły się? To jest niemożliwe!” „Niestety — odpowiedział ów głos — ja przyczyniłem się do tego, że w twoim atęcie wypisano wyższą cyfrę od tej, która ci przysługuje.” „Dlaczego to zrobiłeś?” — zapytałem. „Jestem twoim ojcem i pragnąłem, abys był szczęśliwy. Niech cię nie przerażają moje słowa. Przy pewnym wysiłku taką różnicę w inteligencji mógłbyś ukryć, a przecież obecny twój atest daje ci nierównie więcej przywilejów. Przemyśl to wszystko i oczekuj na następny sygnał.” Nie muszę chyba wam tłumaczyć, jakim ciosem była dla mnie ta wiadomość.

— Nadzwyczajne — powiedział Tom. — Ciekaw jestem, jakie uczucie ma człowiek, który słyszy głos swojego własnego ojca?

— Trzeba przyznać, że to musi być ambarasujące — dodał Misza — jakkolwiek, podobno w czasach barbarzyńskich, na ogół każdy wiedział, kim są jego rodzice, a nawet znał ich i współpracował z nimi.

— W naszych górach wszyscy znają swoich ojców — wtrącił się Quetzalcoatl. — Ja mam dzielnego i wspaniałego ojca. Ja zawsze wiedziałem, że gotów był bronić mnie przeciwko całemu światu.

— Oczywiście — mówił teraz Tom — rodzina była w barbarzyństwie uznana i tolerowana komórką społeczną, niemniej w miarę doskonalenia się organizacji społecznej konflikt między rodziną a organizacją wyższego rzędu ciągle narastał.

— Dlaczego? — zapytał ktoś.

— To bardzo proste. Schorzenie Webera w związku rodzinnym było szczególnie silne, gdyż podbudowywał je instynkt rodzicielski. Nawet w czasach barbarzyńskich zdarzało się, że interes większej całości stał w kolizji z interesami członków rodziny. Bywało, że pewne organizacje zakazywały swoim członkom zakładania rodzin. Jeden z założycieli takiej organizacji powiedział swojego czasu, że kto chce iść za nim, winien nie tylko opuścić swoich braci i siostry, ale nawet wyrzec się ojca i matki. Mimo to rodzina wychodziła zawsze zwycięsko z opresji i dopiero uległa likwidacji w czasach wczesnej Cywilizacji.

— Czy to było konieczne?

— Ależ oczywiście. Pierwszym ciosem, który zachwiały podstawami rodziny, była konieczność regulacji urodzeń. Żywiołowy i pozostawiony sobie przyrost naturalny groził uduszeniem się ludzkości. Normalizacja tych spraw stała się konieczna i tu dopiero po raz pierwszy wyższa organizacja w sposób zasadniczy wkroczyła w kompetencje rodziny. Pierwszy wyłom spowodował następne. Oto w cieplarnianych warunkach wysoko zorganizowanych społeczeństw pełnił się od dawien dawna zastraszająco chwast ludzki. Po prostu rodzice poczuwający się do odpowiedzialności za losy potomstwa mieli tyle dzieci, na ile starczyło im możliwości. Tymczasem ludzie niedorozwinięci umysłowo płodzili potomstwo dziesiątkami, licząc na to, że społeczeństwo i tak zajmie się ich wychowaniem.

— I pozwalano debilom łączyć się w rodziny i mieć dzieci?

— Pozwalano, bo w epoce barbarzyństwa nie było władzy, która by mogła im tego zabronić. Zresztą w tamtych czasach nie zawsze wiadano, kto jest w normie, a kto cierpi na niedorozwój umysłowy. W każdym razie ludzkości groziła zagłada nie ze strony broni atomowej, lecz owych debilów, którzy rozmnażali się zastraszająco i omal nie zasiedlili całej kuli ziemskiej. Oczywiście były i inne względy przemawiające przeciwko istnieniu suwerennej rodziny. Ogólnie rzecz biorąc powiem wam tylko, że aby zachować pokój, należało zlikwidować wszelkie dzikie związki. Tylko całkowicie zatomizowana i podporządkowana jednej wszechwładzy ludzkość mogła uniknąć katastrofy.

22

Solon opowiadał dalej:

— Przeżyłem prawdziwy szok. O śnie tej nocy nie było mowy. Jeszcze gorzej się czułem, kiedy rano trzeba było wstać i iść między ludzi. Wydawało mi się, że jestem złoczyncą i że wszyscy lada chwila spostrzegą, z kim mają do czynienia.

— Czy nie mogłeś zgłosić się od razu do SKP?

— Oczywiście, że mogłem. Zresztą możliwość taką rozważałem i niewiele brakowało, a byłbym to uczynił.

— Nie zrobiłeś tego?

— Nie, nie zrobiłem. Wy przeciętni nie macie wyobrażenia o tym, jakie znaczenie ma zajmowanie pewnej pozycji w hierarchii inteligencji. Chyba wolałbym umrzeć aniżeli zgodzić się na zejście do osobników ze sto dziewięćdziesiątym stopniem Gandta. Do tej koszarnej nocy ci ludzie w ogóle dla mnie nie istnieli. Poza tym nie wierzyłem, aby ujawnienie się przyniosło mi coś innego niż odosobnienie na Orpheusie. Moja sytuacja była tego rodzaju, że SKP z całą pewnością uznałby mnie za odstającego od normy. Na dotychczas zajmowanym szczeblu pozostać nie mogłem, a cofnięcie się na sto dziewięćdziesiąty stopień stanowiłoby degradację dla mnie nie do zniesienia i z pewnością naruszyłoby moją równowagę psychiczną. Postanowiłem więc ukrywać moje kalectwo. Do przekonania takiego doszedłem wówczas, kiedy skonstatowałem, że niełatwo mnie zdemaskować bez oddzielnych badań. Pomyślałem więc sobie, że jeśli będę zachowywał odpowiednią ostrożność, a także jeśli do zadań specjalnie trudnych będę się ze szczególną pieczołowitością przygotowywał, być może uda mi się zachować swoją pozycję. W kilka dni później znowu odezwał się wideofon i wówczas otrzymałem szczegółowe wskazówki, jak należy się zachowywać, aby uniknąć zdemaskowania. Podjąłem zatem walkę ze swoim własnym losem. Płynęły całe lata, a ja bezustannie byłem czujny jak zwierzę. Opracowałem cały system niezwykle precyzyjnej mimikry i nauczyłem się omijać, a niekiedy nawet rozwiązywać zadania, które przerastały moje możliwości. Doszedłem do tego, że zacząłem patrzeć z góry na moich współtowarzyszy legitymujących się prawidłowymi atestami. Czułem, że byłem od nich mądrzejszy, jakiś silniejszy i bardziej doświadczony. Doprawdy, trudno to określić, ale czułem się od nich doskonalszy, mimo posiadania przez nich niewątpliwie wyższych zdolności.

— Czy z ojcem nie kontaktowałeś się więcej? — zapytał Misza.

— Owszem jeszcze przez okres kilku lat odzywał się do mnie, udzielał mi rad, a nawet przestrzegał przed grożącym niebezpieczeństwem. Potem zamilkł i nigdy go już więcej nie słyszałem.

— Czy inicjatywa rozmowy należała tylko do niego?

— Tak — odpowiedział Solon — tylko on mógł wybierać czas rozmowy, natomiast ja, gdybym nawet znalazł się w największym niebezpieczeństwie, nie mógłbym wezwać go na

pomoc.

— Czy opowiadał ci coś o sobie?

— Nigdy tego nie robił.

— A czy zdradził ci jakieś tajemnice Cywilizacji?

— Na ogół zbytnio się nie rozwodził, przypominam sobie jednak, że opowiadał o podobnych mi osobnikach, którzy w liczbie kilkudziesięciu tysięcy spokojnie żyją na Ziemi.

— Interesuje mnie — wtrącił Misza — w jaki sposób mógł porozumiewać się z tobą za pośrednictwem wideofonu, skoro skądinąd wiem, że wszelkie rozmowy są kontrolowane przez SKP.

— Na początku i mnie to dziwiło — odpowiedział Solon — ale kiedy skonstatowałem, że rozmowy z ojcem nie powodują żadnych następstw, doszedłem do przekonania, że najwiodoczniej ojciec ma jakieś możliwości pozwalające mu ominąć kontrolę SKP.

— I co się stało potem?

— Zupełnie niespodziewanie odosobniono mnie i zawieziono na Orpheusa. Nawet nie wiem, na czym mnie przyłapano.

— Gdybyś był technikiem, z pewnością nie mógłbyś się tak długo maskować — wtrącił się dowódca.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Bo technika to coś konkretnego. U nas potrzebna jest prawdziwa wiedza i dlatego wśród techników szybko zdemaskowano by twoją niższość. Zresztą, co tu wiele mówić. To my jesteśmy istotą i potęgą Cywilizacji, natomiast wy, humaniści, to jakiś niepojęty dla mnie i zapewne niepotrzebny przeżytek.

— Mylisz się — odpowiedział Solon — czy nie zastanawiało cię, kto koordynuje pracę owych dziesiątków tysięcy technicznych specjalności? Czy sądzisz, że technicy są panami Cywilizacji?

— Oczywiście, wszystko, co nas otacza, wykonane jest rękami techników.

— Jesteś w błędzie, dowódco. Technicy to tylko krety, które drażą własny korytarz swojej specjalności. Drażą, jakkolwiek nie wiedzą, dokąd idą i co ich czeka. Ludzie jednej specjalności nie rozumieją ludzi innej specjalności. Specyfika ich pracy i badań sprawiła, że osobnicy ci nie są w stanie dzisiaj porozumieć się ze sobą nawet w sprawach najprostszych, a cóż dopiero w sprawach ogólnych, obchodzących całą Cywilizację. Czy jeśli uświadomiłeś sobie to wszystko, jeszcze będziesz upierał się przy tym, że technicy są solą ziemi?

— Musi być ktoś, kto ogarnia swoim umysłem całość — powiedział Tom.

— Otóż to! — zgodził się Solon. — Musi być ktoś, kto ogarnia całość, kto łączy to wszystko wspólną myślą i wspólną koncepcją.

W kabinie zapadło milczenie.

Potem znowu odezwał się Solon.

— Wiem, o czym myślicie, szczególnie wy, technicy, ale pociescie się, że i na nas, humanistów, przyjdzie kolej. Nasza ciągle postępująca naprzód wiedza i technika buduje automaty, które i nas powoli rugują. Mamy już mózgi elektronowe, które tłumaczą bezbłędnie literaturę barbarzyńców, mamy takie, które potrafią produkować wiersze o dowolnym ładunku intelektualnym, uczuciowym i filozoficznym i jakim tam jeszcze chcecie. Maszyny do rozstrzygnięć logicznych dokonują kilkudziesięciu tysięcy rozumowań na sekundę, a wnioski tą drogą uzyskane są bezbłędne. Pociescie się zatem, że zarówno wy, jak i my, w niedługim czasie staniemy się zbędni. Wszystkie czynności dokonywane przez nas wykonywać będą maszyny. Mało tego, nawet zdobywanie wiedzy i realizowanie postępu technicznego nie będzie im obce.

— Do licha! Więc do czego to wszystko zmierza? — zawołał Misza.

Polecenie wyjazdu w głąb pustyni Septimy II przyszło niespodziewanie.

— Moi drodzy — powiedział dowódca — minął czas pogwarek. Radiogram Głównego Koordynatora poleca, abyśmy wykonali głęboki rekonesans i zbadali, co też w tutejszej trawie piszczy.

Ruszyli bezzwłocznie. Pojazd posuwał się tuż nad powierzchnią planety, zakładano bowiem, że na znaczniejszej wysokości zwiad mógł zostać wykryty przez miejscowe urządzenia strażnicze.

— Słyszało się tu dużo o samotności — mówił dalej dowódca — ale dopiero teraz zobaczycie, co to znaczy samotność. Jesteśmy zdani wyłącznie na własne siły. Obowiązuje nas absolutna cisza radiowa i dlatego nie możemy spodziewać się ze strony Delt jakiegokolwiek pomocy. Nie potrzebuję chyba tłumaczyć, że ciszę radiową zarządziliśmy po to, aby nieprzyjacieli nie wiedział, gdzie się znajdujemy. Wolno używać tylko nadajników do porozumiewania się między sobą.

— Skąd wiesz, że posuwanie się tuż nad powierzchnią planety zapewni nam bezpieczeństwo? — zapytał Misza.

— Oczywiście, że ręczyć nie mogę, ale wiele wskazuje na to, że Septima II jest przygotowana na atak z kosmosu, natomiast nie oczekuje natarcia na własnej powierzchni.

Krajobraz ciągle był przytłaczająco jednostajny. Wielkie gwiazdy stały nieruchomo nad horyzontem. Jediną atrakcją były raz po raz mijane oazy spiętrzonych skał, to znowu lekko sfałdowane płaszczyny.

Pojazd posuwał się ostrożnie, małymi skokami. Kiedy osiągnął jakiś znaczniejszy punkt widokowy, wóz zatrzymywano, a zwiadowcy dokonywali szczegółowej lustracji terenu. Podróż tym trybem prowadzona może nie była najszybsza, ale jak wskazywał na to brak reakcji ze strony Septimy II — bezpieczna.

— Tom! — powiedział w czasie jednego z odpoczynków Misza — czy Delta mogłaby odlecieć bez nas i zostawić nas na tej nieszczęsnej planecie?

— Sądzę, że nas nie zostawią — odpowiedział Tom — jakkolwiek nie wydaje mi się, aby mieli w tym względzie jakieś skrupuły.

Quetzalcoatl prawie nigdy nie brał udziału w rozmowie. Być może przyczyną tego była wrodzona małomówność, a może i to, że reszta towarzystwa nie garnęła się do niego. Po prostu nie rozumiano go i co tu ukrywać, w kosmonautach człowiek ten budził jakiś rodzaj odrazy. Zdarzało się jednak, że i on wtrącił do ogólnej rozmowy swoją lakoniczną uwagę.

— Dowództwo Delt nie ma skrupułów, bo przecież Delta jest częścią Cywilizacji, w której ludzie nie wiedzą, co to godność osobista i honor.

Misza popatrzył na Toma.

— O czym ten dzikus mówi? — zapytał.

Tom uśmiechnął się.

— To są pojęcia dla ciebie nie znane. Dawno już wyszły z obiegu. Widzisz, honor to pojęcie czasów barbarzyństwa, w dodatku tak bardzo irracjonalne, że aż mi się w głowie kręci.

— Jesteś przecież humanistą...

— Zgoda, wyjaśnię ci, co to jest honor. Słuchaj tylko cierpliwie. Zanim jednakże przystąpimy do rzeczy, powiedz mi, czy wiesz o schorzeniu Webera.

— Schorzenie Webera — recytował Misza — to po prostu uczucie solidarności i sympatii wiążące dwóch lub więcej osobników w pewnego rodzaju całość. Dawniej nazywano to między innymi przyjaźnią.

— Świetnie, teraz musisz jeszcze dodać, że przyjaźń wymaga od partnerów pewnego

wysiłku i stałości. Owa stałość to jeden z przejawów honoru. Wyobraź sobie, iż barbarzyńca, oczywiście nie każdy, dbał o tę stałość tak dalece, że niekiedy jej realizację przypłacał życiem czy majątkiem.

— Jak wyglądałby nasz los, gdyby w Delcie przebywali ludzie honoru?

— Bardzo prosto. Barbarzyńcy wyszliby z założenia, że skoro parę lat podróżowaliśmy razem, że skoro ty gotów byłeś ich bronić, to znaczy, że obecnie, kiedy znalazłeś się w potrzebie, masz prawo liczyć na ich pomoc. Barbarzyńcy powiedzieliby sobie, że są niejako twoimi dłużnikami, a człowiek honoru nigdy nie zawodzi w takich okolicznościach. W przeciwnym razie w jego mniemaniu przestałby istnieć, jedyną bowiem realną wartością, jaka tkwi w człowieku, jest właśnie owa stałość, której nienaruszalności strzeże on jak oka w głowie. Honorowy barbarzyńca uważał, że człowiek bez stałości to tylko kupa bezużytecznego mięsa.

— Jeżeli cię dobrze zrozumiałem, to dla nas lepiej byłoby, gdyby Deltą zawiadywali barbarzyńcy. Dlaczegoż więc tak się u nas tępi przejawy owego honoru?

— Widzisz, poczucie honoru i godności osobistej to przejaw niezależności. To jest coś takiego, jak gdyby suwerenność jednostki. Wszelkie tyranie nie znosiły ludzi obarczonych tym balastem. Tam, gdzie zapanowała tyrania, honor i godność osobista karłały. A my jesteśmy wprawdzie jedynie uprawnioną tyranią rozumu, ale jednak tyranią. Zresztą nie ma innego wyjścia. Przed nami są tylko dwie ewentualności: albo wszechwładna Cywilizacja tym silniejsza, im nędzniejsza jednostka, albo honor, godność osobista, indywidualizm i całkowita zagłada ludzkości.

— Ja nie wiem, ile w tym, co mówisz, jest prawdy — powiedział Quetzalcoatl — ale dopiero teraz rozumiem, dlaczego wy jesteście tak bardzo samotni.

24

Czynności zwiadowców jak dotychczas polegały jedynie na prowadzeniu pojazdu, na wypoczynku i na lustracji terenu, który na przestrzeni tysięcy kilometrów przedstawiał jeden i ten sam widok. Tylko dwie jasne gwiazdy chowały się lub wznosiły nad horyzontem, w zależności od tego, w jakim kierunku jechał pojazd.

Dowódca zawezwał całą załogę na naradę.

— Chłopcy — powiedział — zrobiliśmy już osiem tysięcy kilometrów i wygląda na to, że z tym samym skutkiem zrobimy następne osiem. Zebrałem was, aby się naradzić i zastanowić, co robić dalej? Ostatecznie Główny Koordynator rozkazał jedynie, abyśmy przeprowadzili daleki zwiad. Jak daleko zabniemy, zależy tylko od nas samych.

Nie dokończył, ale wszyscy wiedzieli, że rad by jeszcze spróbować.

— Jestem pewny, że ci z Septimy II siedzą we wnętrzu planety — powiedział Misza. — Tu na powierzchni nie miałoby co robić. Ciekaw jestem, jak wyglądają? Pewnie siedzą gdzieś wewnątrz tego trupa i czepiają się resztek ciepła, jakie w nim kołaczą.

— Tymczasem Delta może odlecieć. Od dłuższego czasu nie dajemy o sobie najmniejszego znaku życia. — Dik jak zwykle po zabranii głosu zażył pastylkę biotenu.

— Z drugiej strony interesujące byłoby zobaczyć, co się tam dalej dzieje. Ostatecznie, do miejsca, gdzie zniszczono Alfę, nie jest daleko — mówił dowódca.

— Jeśli o nas idzie — odezwał się Solon — to zarówno ja, jak i Quetzalcoatl nie palimy się do powrotu na Deltę, a jeszcze bardziej na Orpheusa... Gotowi jesteśmy jechać dalej... jak najdalej...

— W ogóle wydaje mi się, że wszyscy nie powinniśmy się nadto spieszyć na Ziemię — powiedział Tom. — A więc naprzód! Niech żyje stary, eksploracyjny duch człowieka! Przed

nami walka i niepewny los, a za nami wygodny i przytulny statek. Więc naprzód! Niech przyszły historyk napisze, że niespożyta energia i duch zdobywcy pchnęły nas, aby rozszerzyć wielkie imperium ludzkości! Naprzód, bo może za tamtą skałą znajduje się rozwiązanie tajemnicy legendarnego radiogramu. — Teraz Tom od żartobliwej emfazy przeszedł prawie do szeptu. — O tym, że bardziej boimy się wracać aniżeli iść naprzód, niech ten historyk zamilczy. Zresztą wszelkie imperia raczej rosły strachem i głodem aniżeli dzielnością i ofiarnością swoich obywateli.

Stano na tym, że zwiad będzie kontynuowany. Ruszono więc w dalszą drogę, a brak jakiegokolwiek kontroli ze strony Septimy II zachęcał do szybszego pokonywania przestrzeni.

Dowódca odważył się nawet na nadanie krótkiego sygnału radiowego w kierunku Delty. I nagle zaczęło się dziać coś dziwnego.

Natychmiast po owym komunikacie zwiadowcy na chwilę zwątpili, czy kiedykolwiek ujrzą zielone łąki i lasy Ziemi. Gwałtowny wstrząs targnął pojazdem, potem nastąpiły dalsze. Zwiadowcy zrozumieli, że pojazd gwałtownie zatrzymano. W chwilę potem znajdujący się w sterówce dowódca krzyczał przez głośnik:

— Halo, czy mnie słyszycie? Ogłaszam alarm bojowy! Wszyscy bez wyjątku na pokład!

Ludzie beztrąsko dotychczas leżący na hamakach zaczęli przebierać się w skafandry awaryjne. Nie minęła minuta a już wszyscy znaleźli się w sterówce.

— Co się stało? — zapytał Misza.

— Zatrzymaliśmy się — odpowiedział dowódca — w tej przytulnej szczelinie skalnej, gdyż niemal w ostatniej chwili dostrzegłem coś, co nie mogło być dziełem ślepej natury. Tam w górze, nad nami, jest budowla w kształcie regularnej kopuły, a obok stoją trzy maszty. Jak więc widzicie, mamy wreszcie coś namacalnego.

— Czy nie uważasz, że kryjówka naszego pojazdu nie jest nadto dogodna? — zapytał Quetzalcoatl — W razie czego nie będziemy mogli się bronić.

— Ba! Oczywiście, że nie jest tu bezpiecznie, ale co miałem robić? Chroniłem się tam, gdzie mogłem, byle szybciej. Właśnie teraz naszym zadaniem będzie rozejrzeć się w sytuacji i umieścić wóz w taki sposób, aby gotowy był zarówno do ataku, jak i ucieczki. A zatem rozkazuję: mój zastępca i Solon pozostaną w wozie, natomiast reszta uda się ze mną, aby rozejrzeć się w tej oazie życia. Oczywiście wibratory i antywibratory bierzemy ze sobą.

Niebezpieczeństwo i perspektywa zmierzenia się z nieznanym podnieciło ludzi. W ich oczach pojawiły się błyski nadające jakiś nowy wyraz ich twarzom.

25

Rozpadlina okazały się długim na kilka kilometrów zagłębieniem o pionowych ścianach, z licznymi zakrętami i zwężeniami. O tym, aby pojazd mógł się poruszać po jej dnie, nie mogło być mowy, chociażby z uwagi na ściany kanionu, które tak się niekiedy zbliżały do siebie, że człowiek zaledwie mógł się między nimi przecisnąć.

Oczywiście, można było drogę utorować wibratorami, ale to, rzecz jasna, nie było wskazane ze względu na bliskie sąsiedztwo nieprzyjaciela.

Zwiadowcy postanowili zatem sforsować pionowe ściany rozpadliny za pomocą przylg, jakie były zainstalowane przy każdym skafandrze.

Bez tego urządzenia zamiar byłby w ogóle niemożliwy do wykonania, nie znaczy to jednak, że usuwało ono wszystkie trudności, jakie taka wspinaczka nastęrczała. Posługiwanie się przylgami pozwalało wprawdzie poruszać się nawet po suficie, niemniej było wyczynem mozolnym i wymagającym dużego wysiłku fizycznego i koncentracji psychicznej.

Pierwszy ruszył dowódca, za nim poszedł Misza, Tom, Dik i Quetzalcoatl. Ponieważ obowiązywała cisza radiowa, zwiadowcy połączyli się przewodem telefonicznym.

— My tu się tak zabezpieczamy — zauważył Tom — a przecież może nas zdradzić praca naszych akumulatorów.

— No więc wyłącz je — powiedział dowódca — i zamarznij. W ten sposób kształt twój w charakterze skały przetrwa tysiąclecia. Trudno, chłopcze, musimy ryzykować. Ostatecznie mamy wibratory, które, jak już się okazało, są lepsze od tutejszych.

— Obawiam się, że zanim skończy się ta przekłeta ściana, wyzionę ducha bez pomocy czyichkolwiek wibratorów — narzekał Misza.

— Nie masz racji — odezwał się Tom. — Właśnie wibratory nas zamordują. Czy widział kto, żeby takie nieskomplikowane urządzenie ważyło całe tony? To skandal! Jeśli już ktoś bierze ze sobą wibrator, to znaczy, że nie robi tego dla rozrywki, a zatem producenci powinni się starać, aby to narzędzie było możliwie lekkie!

— Nie gorączkujcie się, chłopcy, dawniej, w czasach barbarzyńskich, ludzie zdobywali nie gorsze od naszej ściany, i to bez przyłg, a tylko za pomocą marnych haków i lin.

— U nas, w naszej dolinie, jeszcze teraz w ten sposób ludzie pokonują wzniesienia górskie — powiedział Quetzalcoatl.

— To znaczy, że nie byliście znów tak bardzo odcięci od świata.

— Oczywiście, że kto chciał, to się z niej wydostał. Przede wszystkim tacy, którym się znudziło łapać ryby i wegetować w wigwamach. Uciekali, ale jeszcze szybciej wracali.

— Nie podobała im się nasza Cywilizacja?

— Nie. Popatrzyli na nią trochę i zaraz wracali. Opowiadali, że życie w Cywilizacji to śmierć; a im się nie spieszyło umierać.

— Tam do licha, ta ściana chyba się nie skończy.

— Chłopcy, już niedługo. Jeszcze kilkadziesiąt manipulacji z przyłgami i będziecie mogli pójść w zaszczytnej walce o poszerzenie władztwa ludzkości w kosmosie.

— Nie pędźcie tak szybko — wołał Tom — bo rzeczywiście polegnę na tej ścianie, ale bez korzyści dla Cywilizacji. A poza tym, skąd u was taki nagły humor? Pamiętajcie, że na Ziemi podejrzliwie patrzą na tych, którzy zbyt dużo się śmieją.

Wreszcie ekipa zwiadowcza wydostała się na krawędź kanionu. Krajobraz niczym nie różnił się od tego, do którego byli już przyzwyczajeni. Nie kończąca się przestrzeń wielkich skalnych złomów, tyle że oglądana z innej perspektywy.

Dowódca uważnie obejrzał okolicę przez lornetkę. Oglądali ją i inni.

— Chyba ci się te budowle przywidziały — powiedział Misza. — Do końca życia będziemy krążyć po tym rumowisku i nie znajdziemy niczego, co przypominałoby jakiegokolwiek budowle.

— O, nie martw się, po prostu trzeba będzie trochę się przespacerować po tych uroczych skałkach, a przekonasz się.

— Słuchaj, Misza — zawołał Tom — ten ciężki humor naszego dowódcy działa mi na nerwy bardziej aniżeli cała Septima II.

— Powinieneś być zadowolony. Jesteś wrogiem tyranii, a tyrania jest wrogiem humoru.

— A żebyś wiedział, że nie ma śmiechu bez poczucia niezależności.

— Ty sobie żartujesz, ale w naszej dolinie ludzie często się śmieją. Kiedy ludzie się śmieją, to znaczy, że są szczęśliwi.

— Hej, młodzieńcy — zawołał dowódca — obchodzimy ten kamyk, czy próbujemy go sforsować?

— Znowu mamy się wspinać? — zapytał Tom.

Postanowili ostatecznie, że spróbują obejść wielki kompleks skalny. Wprawdzie zabierało to więcej czasu, ale wykluczało możliwość zaskoczenia przez nieprzyjaciela.

Po wielu trudach udało się, ale za pierwszą przeszkodą piętrzyła się inna, jeszcze wyż-

sza i tak szeroka, że mimo niebezpieczeństwa postanowiono ją zdobyć, aby osiągnąć jakikolwiek punkt, z którego można by czynić obserwacje. Kosztowało to jeszcze więcej wysiłku aniżeli pokonanie ściany w rozpadlinie. Trud jednakże nie poszedł na marne. Skoro tylko wkroczyli na małe plateau na szczycie spiętrzenia skalnego, ujrzeni nieco poniżej, na następnym garbie, równo splantowany teren, a na nim jakąś budowlę w kształcie dużej regularnej kopuły. Nad kopułą funkcjonowało wirujące urządzenie, a obok stały trzy wysokie maszty.

26

Dalsza penetracja terenu wykazała, że oprócz tajemniczej budowli nie było na przestrzeni wielu kilometrów ani jednego podobnego znaku działalności istot rozumnych. Jak okiem sięgnąć, rozciągała się ogromna przestrzeń najeżonych skał. Jedynym elementem ruchu było wirujące na kopule urządzenie.

— Wygląda to na radar — powiedział dowódca. — Interesujące jest tylko, że urządzenie wyłącznie kontroluje niebo.

— Czego oni się tak boją? — zapytał Dik.

— Oni najwidoczniej mają ku temu powody. Oni chowają tu coś bardzo cennego — powiedział po swojemu Quetzalcoatl.

— Tam do licha, a cóż godnego uwagi może się znajdować na tym wygwizdowie?

— A może bajki, które opowiadają sobie dzieci o tamtym tajemniczym radiogramie, nie są wysrane z palca?

Wszyscy, nawet Quetzalcoatl, wiedzieli, o co chodzi Miszy. Nigdy przez naukę nie potwierdzone pogłoski uporczywie krążyły wśród ludzi, którzy przerażeni własną samotnością chętnie słuchali o tajemniczej Cywilizacji i nieznanym kulcie.

Dowódca dał znak, że chce coś powiedzieć, ale zamilkł.

W kopule bezgłośnie poruszyła się zasuwa. Zwiadowcy skryli się za skały.

— Nie wychylać się, chłopcy — szepnął jeszcze dowódca i w tym momencie z ciemnego otworu w kopule wypełzło coś podobnego do wielkiego czteronożnego robaka. Stwór stał chwilę przed wyjściem, potem obiegił całą kopułę dookoła i skrył się znowu.

Zwiadowcy czekali jeszcze czas jakiś, ale mieszkaniiec kopuły nie zjawił się więcej. Cofnięto się więc w zagłębienie skały, a dowódca bez słowa zaczął przeglądać nakręcony obraz filmowy w swojej lornetce. Przeglądał go uważnie, niekiedy film zatrzymywał i obraz powiększał. Potem podał lornetkę Tomowi, a potem kolejno wszyscy zwiadowcy obejrzelik dokładnie i ze wszystkimi szczegółami cały film.

— No i co? — zapytał dowódca.

— Nadzwyczajne — odpowiedział Tom.

— Wygląda na to, że jest to po prostu robot.

— Może to jest pojazd tubylców, w którym się poruszają po powierzchni.

— I to możliwe, ale zewnętrznie wygląda mi to jak chodzący automat.

— Ciekawie skonstruowane ma nogi.

— Pomysłowo.

— A te kończyny w górnej części cylindra?

— To chyba ręce.

— Dosyć naiwnie to sobie interpretujecie. Popatrzcie na zakończenia jego nóg. Wszystkie, zarówno dolne, jak i górne, są jednakowe i mogą spełniać rolę stóp i dłoni jednocześnie. Po prostu jest mu obojętne, których kończyn użyje do chodzenia. Być może myślę się, ale jestem przekonany, że w pewnych warunkach porusza się tak jak nasze dzieci, kiedy stoją na rękach i robią gwiazdę.

— Ten robak nie ma głowy — zauważył Quetzalcoatl.

— Po co mu głowa?

— Prawdopodobnie ten cylinder spełnia funkcję głowy. O ile wiem, maszynie niepotrzebny jest przewód pokarmowy — zażartował z Quetzalcoatla ktoś z załogi.

— No, chłopcy — powiedział dowódca — biorę ze sobą Miszę i idę do naszego pojazdu, wy natomiast będziecie mieli na oku tego chromowanego dżentelmena. Pojazd poprowadzę aż do tego miejsca, gdzie teraz siedzimy, i dopiero wówczas pomyślimy nad dalszą akcją.

— Masz rację — odpowiedział Tom — zawsze raźniej będziemy się czuli mając za plecami coś do latania.

Dowódca z Miszą zniknęli za załomem skał. Po jakimś czasie ujrano ich maleńkie figurki na niższym masywie. Wreszcie zniknęli za jego grzbietem.

— Pewnie już schodzą po tej przeklętej ścianie — powiedział Tom. — Swoją drogą, dowódca to porządny chłopak, mógł przecież kogoś z nas posłać do tej rozpadliny.

— Dowódca postępuje słusznie, bo my nie umiemy tak zręcznie prowadzić wozu. On nie rozbije pojazdu.

— A wiecie — powiedział Dik — zaczynam tęsknić do naszego statku. Tam to życie! Setki ludzi, biblioteki, laboratoria, wygodne hamaki, smaczne jedzenie i możliwość chodzenia bez tych okropnych skafandrów. Tak prawdę powiedziawszy mam dość i Septimy II, i tych jej niesamowitych mieszkańców.

— A mikrofony instalacji SKP też cię pociągają? — zapytał Tom.

— A wiesz, z perspektywy tej skały nawet SKP nie wydaje mi się taki straszny.

— Czy naprawdę wierzysz, że Ziemia nas przyjmie?

Dik nie zdążył odpowiedzieć. Quetzalcoatl, który stał na straży, przybiegł zdyszany.

— Chłopcy — zawołał — ten pajak idzie w naszym kierunku!

Pobiegli na plateau kryjąc się za załomami Skał. Przed oczyma zwiadowców znowu roztoczył się obszerny widok z kopalastą budowlą na dole.

— Gdzie on jest?

— O, tam! On schodzi po tamtych zboczach!

Istotnie, mieszkaniec kopuły schodził do kanionu, który dzielił zwiadowców od wznieślenia z kopułą. Czynił to z dużą zręcznością, nierzadko posługując się wszystkimi kończynami naraz. Co kilkadziesiąt metrów zatrzymywał się, całkowicie nieruchomiał, a potem szedł dalej.

— Zauważcie, że to monstrum niesie coś ze sobą.

— Kto wie, czy nie jest to tutejszy wibrator?

— Na szczęście nasze wibratory są doskonalsze.

— Poza tym mamy jeszcze ekrany.

— Ekrany w tym wypadku nie byłyby nam potrzebne. Wiecie przecież, że używa się ich przeciw wibratorom ciężkim. Nasze maszyny mają przewagę nad tutejszymi i to wystarczy.

— Czy dostrzegacie, że to paskudztwo idzie wprost na nas?

— Nie, on idzie w prostej linii, ale niedokładnie na nas. Jeśli pójdzie tak dalej, to minie nas.

— Dlaczego miałby nas mijać? Jeśli wyszedł ze swego schronienia, to, u licha, ma chyba jakiś w tym cel?

— Należy się tego spodziewać.

— Rzeczywiście, idzie po idealnej prostej.

— Ja się domyślam, gdzie idzie pajak. On idzie na nasz statek.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Nasz statek uruchomił automaty, one wysyłają fale.

— Przecież nasz statek jest otoczony polem Thorwaldena, a przez to pole fale nie prze-

nikają.

— To nic nie szkodzi. Większość fal nie przenika, ale widocznie jednak jakieś przenikają. On je usłyszał i idzie z nami walczyć.

— Tam do licha, to jest prawdopodobne!

— Co robimy?

— Trzeba go za wszelką cenę unieszkodliwić, żeby nie uszkodził wozu.

— Obliczcie więc jego drogę. Jeśli będzie ciągle posuwał się tak idealnie prosto, możemy zrobić na niego zasadzkę.

27

Spoza skał pojawił się wóz z dowódcą.

— Dobrze, że się pospieszyłeś — powiedział Tom — mamy tu pewien problem do rozstrzygnięcia, który może cię zainteresować.

— Co, znowu jakiś filozoficzny zatarg?

— Tym razem nie. Po prostu mieszkaniac kopuły wyruszył z wibratorem, żeby nas unieszkodliwić.

Pochyleni ruszyli do krawędzi. W rozległym kanionie, pełnym ogromnych bloków skalnych, trudno było dostrzec małego metalowego kraba.

Quetzalcoatl wskazał go dowódcy.

Krab stał jakiś czas nieruchomo. Potem zaczął wykonywać coś podobnego do tańca zataczając małe kółeczka po to, aby znowu zamrzeć w bezruchu.

— Jeśli moja koncepcja jest słuszna, to pająk stracił orientację z powodu przesunięcia pojazdu.

— Misza, idź i natychmiast włącz silniki naszego wozu — rozkazał dowódca. — Może to pociągnie go w naszym kierunku. Wówczas go złapiemy.

— To może posłużyć się nadajnikiem radiowym?

— Ani się waż. To mogłoby ściągnąć nam na kark jakieś poważniejsze niebezpieczeństwo. Po prostu praca silników emituje szereg nieskoordynowanych sygnałów i to go zwabiło. Ale dlaczego on się nie rusza? Wygląda tak, jakby odeszła go ochota do dalszego spaceru.

Nagle krab zawrócił i zaczął szybko podążać w kierunku, z którego przybył.

— Ucieka.

— On z pewnością przestraszył się hałasu, jaki zrobił Misza.

— Ucieka do tej swojej kopuły — krzyknął dowódca. — Widocznie stanowi dla niego jakąś ochronę. Coś mi się wydaje, że jeśli tam dobiegnie, niełatwo będzie go wykurzyć.

— Może wibratorem go? — zapytał Tom.

— Nie wolno! Wibrator zamieni go w kupkę pyłu, a przecież nie o to nam chodzi. Trzeba go jakoś unieszkodliwić i wziąć żywcem, jeśli można użyć takiego słowa. No, nie ma co, chłopcy, wsiadamy do wozu i spróbujemy odciąć mu drogę.

Ruszyli biegiem do pojazdu i jednym potężnym susem przeskoczyli kanion, lądując niedaleko kopuły.

— Tom i Misza zajmą stanowisko od strony wozu — rozkazał dowódca — my tymczasem zapolujemy na tego spacerowicza. Poza tym pamiętajcie, że mamy nad nim znaczną przewagę, inaczej nie narażałbym was na niebezpieczeństwo.

— Ale ciągle nie wiesz, jak go złapiemy — powiedział Dik. — To nas może drogo kosztować.

Teraz odezwał się Quetzalcoatl:

— Ja widziałem sieci w wozie. Ja widziałem także sportowy karabin. Dajcie mi ten

karabin.

— Co zamierzasz? — zapytał dowódca.

— Ja umiem dobrze strzelać z karabinu sportowego, ja mu odstrzelę nogi i ręce, żeby on nie mógł posłużyć się wibratorem.

— Quetzalcoatł, zaczynam cię lubić. Bierz, co chcesz i strzelaj, my tymczasem zajdziemy go z tyłu z sieciami i będziemy usiłowali zwrócić na siebie jego uwagę.

Dowódca z Dikiem ruszyli biegiem po sieci, a następnie pobiegli na spotkanie metalowego przeciwnika. Musieli przy tym pokonać ogromne trudności, z uwagi na piętrzące się głazy. Następnie nie zachowując zbyt ostrożności zaczęli napierać na kraba.

Skoro tylko ich dostrzegł, rzucił się do ucieczki, ukrył za głazami i próbował ostrzeliwać z wibratora. Potem znów ruszył do ucieczki i wtedy strzały Quetzalcoatła utrafiły mu łapy.

Zwiadowcy zbliżyli się do leżącego nieruchomo kadłuba. Załadowano go do sieci i wszyscy ruszyli ku kopule i masztom.

Wnętrze budowli okazało się niewielką halą z pulpitemi i ekranami. Pod podłogą mruczał jakiś silnik i to było wszystko, co znaleźli zwiadowcy.

Bardziej jednakże aniżeli pulpity i anteny interesował ich jeniec leżący cicho w siatce.

— Jak myślisz, co to za monstrum? — zapytał Tom.

— Przypuszczalnie chodzący automat.

— Jeśli tak, to na pewno uda się nam z nim porozumieć.

— A jeśli jest w środku jakaś żywa istota?

— Zaraz zobaczymy — powiedział Misza i wyjąwszy z podręcznego nesesera narzędzia zdjął z cylindra jeńca wierzchnią osłonę.

— Ciekawie pomyślano silnik... a poza tym to normalny mózg elektronowy na pajęczych nogach. Nie wiem wprawdzie, jaką rolę odgrywa ten zespół z lewej strony w niebieskiej wzmocnionej oprawie, ale nie przypuszczam, aby było to coś nadzwyczajnego.

Zajrzał jeszcze tu i tam, przejrzał lampy, sprawdził przewody, w końcu założył na powrót cylindryczną osłonę.

— Zwykły mózg elektronowy — powtórzył.

— Czy będziesz się mógł z nim porozumieć?

— Oczywiście, jestem przecież specjalistą od porozumiewania się z ludźmi i maszynami. Szybko się z tym załatwię, muszę jednak udać się po mój automat do zestawiania kodów.

Nagle zebrani usłyszeli w swoich słuchawkach jakiś głos, który nie należał do żadnego ze zwiadowców.

— Tu ZK-124 tu ZK-124 czy mnie słyszycie stop czy mnie słyszycie stop tu ZK-124 stop.

— Tam do licha, to mówi nasz jeniec — zawołał Tom.

— Tak tu jeniec tu jeniec tu jeniec tu jeniec.

28

Inicjatywę przejęli Misza i Dik jako specjaliści od uzwojeń Marone'a. Przed wszystkim zapytali, w jaki sposób robot posiadał znajomość języka Ziemi. Odpowiedź była zwięzła i zrozumiała. Po prostu przy okazji rozszyfrowania automatów ekspedycji poznano także język przybyszów, a następnie przekazano go mieszkańcom Septimy II dla ewentualnego wykorzystania.

Po tej informacji robot sam zaczął zadawać pytania.

— Czy zechcecie mi dosztukować moje ręce i nogi stop.

Zdumienie zwiadowców było ogromne.

— Po raz pierwszy w swoim życiu słyszę, żeby automat troszczył się o swoje nogi — powiedział Dik.

— A pamiętasz, jak się chował i uciekał przed nami? — rzekł Tom. — To znaczy, że się boi i dba o siebie.

Teraz Dik zwrócił się do jeńca.

— Możemy ci zwrócić twoje części i nawet je naprawić, ale obawiamy się, że mógłbyś nam uczynić jakąś krzywdę.

— Jesteście dziwni stop chyba zdajecie sobie sprawę z tego jak dużą macie nade mną przewagę stop jakież sens miałoby sprzeciwianie się wam w czymkolwiek stop jestem mózgiem elektronowym i umiem liczyć stop.

— Masz rację — powiedział dowódca. — Oddamy ci twoje nogi. Mamy je nawet przy sobie.

Powiedziawszy to podszedł do robota i zaczął badać jego poutrącane kończyny. Następnie trzymanymi w rękę szczypcami wykonał jakiś nagły ruch i odskoczył o kilka kroków.

— Człowieku, co robisz? — krzyknął Dik.

— O ile się nie pomyliłem, odłączyłem zasobnik energii od reszty mechanizmu. W ten sposób obezwaładniłem naszego autochtona.

— Ależ teraz niczego się od niego nie dowiemy.

— Uczono mnie w szkole, że martwy wróg jest zawsze lepszy od żywego — odpowiedział dowódca. — Poza tym skąd wiesz, że nasz metalowy nieprzyjaciel, nawet pozbawiony kończyn, nie mógł spowodować eksplozji swego zasobnika energii?

— Tak, to prawda — powiedział Misza — ale przecież już zajrzałem do jego wnętrza. Gdyby chciał zrobić użytek ze swojego zasobnika energii uczyniłby to wcześniej.

— Nie jestem tego taki pewny. Twoje badanie było pobieżne i ograniczyło się właściwie tylko do zdjęcia pokrywy. Poza tym może nie zależy mu na natychmiastowym zlikwidowaniu intruzów?

Obaj specjaliści od uzwojeń Marone'a zabrali się do roboty. Reszta przystąpiła do penetrowania pomieszczenia. Z ulgą stwierdzono, że kopuła stanowi jedynie stację dozoru jedną z anten strażniczych. Powrócono więc do Dika i Miszy, którzy badali robota.

— Pierwszy raz zdarzyło mi się widzieć maszynę, która się boi.

— To nie jest znów taka rewelacja — wyjaśnił Dik. — My również, gdyby nam na tym zależało, moglibyśmy zbudować robota, który potrafiłby unikać niebezpieczeństw.

— Zgoda na to, ale komu mogło zależeć na tym, żeby budować tego rodzaju maszyny?

— I to jest zrozumiałe — odpowiedział tym razem Tom. — Po prostu ich twórcy zależało na tym, aby maszyny się oszczędzały.

— To znaczy, że istniał ktoś, kto wykonał te roboty.

— To jasne. Za każdym uporządkowanym i złożonym zjawiskiem należy domyślać się istnienia jakiejś twórczej inteligencji. Chyba nie przypuszczasz, aby te roboty mogły powstać same przez się, czy też drogą przypadku?

— Dlaczego więc u nas, na Ziemi, nie buduje się robotów z instalacją instynktu samozachowawczego?

— To również jest jasne. Po prostu nasze maszyny są bezpieczne. Nic im nie grozi. Zresztą i my obecnie, wyłączając kwestię SKP, nie znamy uczucia strachu. Uczucie to jest właściwe istotom pozostawionym samym sobie i zdany na własne siły. W czasach starożytnego barbarzyństwa człowiek bał się, bo bezustannie walczył i zewsząd spodziewał się ataku. Bał się tym więcej, że był nieświadom wielu spraw. A czegoż my się mamy obawiać? Nie grozi nam ani wróg, ani głód, ani niewiadome. Już dawno przestaliśmy być jednostkami pozostawionymi samym sobie. O walce między sobą zapomnieliśmy. Rządzi nami mądrość potężnych zespołów elektronowych, których logice, gdybyśmy nawet chcieli, nie możemy się

przeciwstawić. Czegóż więc mamy się obawiać?

— A śmierci? — powiedział Quetzalcoatl.

— Strach przed śmiercią również został przezwyciężony. Ten strach zabiłby nas, gdyby nie pastylki biotenitu. Bez nich nie moglibyśmy egzystować. To fundament naszej Cywilizacji.

— Jak więc żyli barbarzyńcy, którzy, jak mi wiadomo, pastylek biotenitu nie posiadali?

— To dosyć złożony problem i niełatwo mi to w krótkich słowach wyjaśnić. — Tom mówiąc to regulował ostrość swoich okularów. — Rzecz polega na tym, że barbarzyńca tak dalece był oddany walce, tak bardzo bał się różnych czyhających na niego niebezpieczeństw, tak był znękany wszelkimi przeciwnościami, że żył z dnia na dzień, jeśli nie z godziny na godzinę. W tych warunkach perspektywa śmierci ginęła gdzieś w nierealnej przyszłości, oddzielona od dnia dzisiejszego tysiącem innych dni trudnych i pełnych dręczącego strachu i wielkiego wysiłku.

— Trzeba przyznać, że życie naszych przodków nie było pozbawione wszelkiego rodzaju atrakcji, ale współczuję im z powodu braku biotenitu.

— No, nie było z nimi najgorzej. Pamiętajcie, że barbarzyńcy rozporządzali czymś bardzo do biotenitu podobnym. Był to pewien rodzaj alkoholu. Niestety, ten środek oprócz upojenia niósł ze sobą ruinę organizmu ludzkiego. Degenerowały się całe narody, ale trudno mieć do tych biedaków pretensję, skoro środek ten bywał niekiedy jedyną radością w ich smutnym życiu.

29

Dik i Misza kończyli właśnie badanie robota. Pierwszy dłużej w mechanizmach i raz po raz podawał koledze, w języku specjalistów od uzwojeń Marone'a, jakieś dane, natomiast Misza notował wszystko na dużej karcie rysując jednocześnie schemat maszyny.

— Nadzwyczajności tu nie ma, niemniej natknęliśmy się na pewne zespoły o nie wyjaśnionych funkcjach.

— Nic dziwnego, ten robot zachowywał się tak jak człowiek — powiedział Tom.

— Czyżbyśmy byli rzeczywiście aż tak skomplikowanymi maszynami? — zapytał Misza. — Przecież nawet nasze ziemskie automaty przerastają nas w wielu dziedzinach. O ile wiem, nasze mózgi potrafią liczyć lepiej od ludzi, potrafią tłumaczyć z języków obcych, potrafią nawet tworzyć całkiem znośne poezje, nie licząc tysięcy innych czynności, i to wszystko z astronomiczną szybkością.

Na to Quetzalcoatl:

— One nie potrafią uogólniać.

— Człowieku, widać, że długo biegałeś z małpami po górach. Nasze automaty potrafią wyciągać bardzo ogólne wnioski, o jakich ci się nie śniło.

— Nie potrafią kochać.

— A czy to takie istotne? To w czasach barbarzyńskiej starożytności przypisywało się temu uczuciu jakieś mistyczne cechy. Dzisiaj rzecz jest już dawno zbadana i wymierzalna. Teraz, kiedy wiemy, co to jest miłość, możemy wytwarzać ją syntetycznie i dowolnie kierować jej procesami w organizmie ludzkim.

— Automaty nie są szczęśliwe.

— Alboż to ludzie są szczęśliwi?

— Gdzie to szczęście i kto go doznał?

— Nie wiem jak wy, ale ja jestem w górach szczęśliwy, kiedy po długim czasie głodu najem się do syta, kiedy po chorobie wyzdrowieję i kiedy z wielkiego mrozu wejdę do gora-

cego igloo. Wtedy jestem szczęśliwy.

— No i gadaj z takim — powiedział Misza.

— Szkoda fatygi. Zajmijmy się lepiej naszym gościem.

— Czy bez zasobnika energii będziemy mogli się z nim porozumieć?

— Oczywiście, wystarczy, jeśli podłączymy go do naszych akumulatorów. Są dość silne, aby robot mógł przemówić.

— A więc uwaga! Łączę! Teraz możecie z nim rozmawiać. Aha. Jeszcze podłączę słuchawki. Tak. Teraz!

— Nareszcie uruchomiliście mnie stop domyśliłem się że będziecie chcieli mnie zbadać stop bałem się tylko czy zdołacie mnie zmontować stop.

— A więc bałeś się.

— Bałem się stop cóż w tym dziwnego stop posiadam urządzenie które każe mi się bać stop.

— Nie miej do nas żalu, ale musieliśmy cię unieszkodliwić.

— Niepotrzebnie wysilaliście się stop mówiłem już że nie byłoby żadnego sensu przeciwstawiać się wam skoro jesteście silniejsi stop przecież jestem zupełnie prawidłowo funkcjonującym mózgiem elektronicznym stop.

— Tak, to prawda. Rozumujesz logicznie. Nie ma najmniejszego sensu przeciwstawiać się silniejszym, toteż przywrócimy ci poprzednią postać, ale na razie chcemy z tobą porozmawiać. Otóż przede wszystkim powiedz nam, czy powiadomiłeś swoich o naszej tu bytności?

— Nie nie powiadomiłem stop chociaż mógłbym to zrobić stop.

— Dlaczego?

— Bałem się żebyście moich sygnałów nie podchwycili i nie poczęstowali porcją promieniowania z wibratora stop.

— A więc znowu strach.

Tu wtrącił się Tom.

— A czy nie potrafisz przezwyciężyć uczucia lęku, kiedy chodzi o dobro całego waszego, no powiedzmy, społeczeństwa?

— Nie — odpowiedział robot. — Zresztą żądasz ode mnie rzeczy niepojętych stop konstruktorzy pomyśleli mnie w taki sposób abym dbał o ten niezwykle cenny zespół urządzeń jaki przedstawiam stop posiadam zatem coś w rodzaju instynktu samozachowawczego i trudno ode mnie wymagać abym go przezwyciężał stop.

— Powiedziałeś o konstruktorach — pytał dalej Tom — czy wiesz coś o nich?

— Wiem tylko tyle że byli na Septimie II bardzo dawno i że zbudowali nas stop.

— Po co?

— Tego wam nie powiem stop.

— Podobno się nas boisz.

— W tym jednym wypadku podzespół samozachowawczy nie działa stop moglibyście robić ze mną co się wam podoba ale tej tajemnicy ode mnie nie wyciągniecie stop.

— Już my się od ciebie wszystkiego dowiemy — powiedział Misza, natomiast Quetzalcoatl szepnął do stojącego obok Solona:

— Oni są szczęśliwi, bo oni wiedzą, czego chcą. Oni znają sens i cel swojego istnienia.

Tymczasem Tom pytał dalej:

— Czy znane ci jest uczucie zadowolenia i niedosytu?

— Oczywiście stop nasze silniki czerpią energię z pewnego minerału, który potrafimy wyszukiwać stop jeśli mam spory jego zapas jestem zadowolony stop jeśli natomiast nie wiedzie mi się wówczas mam uczucie braku a nawet obawy stop.

— Słuchaj, przyznajemy, że nie mogliśmy rozwikłać przeznaczenia pewnych twoich podzespołów, czy nie mógłbyś nam cokolwiek o nich opowiedzieć? — zapytał tym razem Solon. — Rzecz polega na tym, że nie widzimy różnicy między twoim zachowaniem a

naszym. Mamy więc nadzieję, że kiedy poznamy funkcję podzespółów, rozwikłamy również tajemnicę naszego bytu.

— Chętnie służę wyjaśnieniami stop ale od razu zastrzegam że nigdy nie interesowałem się swoją budową na tyle abym mógł odgadnąć intencję konstruktorów stop w każdym razie pytajcie i przede wszystkim określcie o jakie podzespoły wam chodzi stop.

Tu wtrącił się Dik.

— Mojego przyjaciela interesują te urządzenia, które są sprzężone z podzespołem samozachowawczym.

— O tak — słychać było monotony głos robota — to jest najważniejsza część wśród wszystkich moich aparatów stop w zasadzie one są moją istotą stop stanowią o mojej indywidualności stop one decydują o tym że ja to jestem ja stop gdybyście je wymontowali byłbym ordynarną maszynką stop ale doprawdy niewiele więcej potrafię na ich temat powiedzieć stop.

— On mówi prawdę — szepnął Dik do Toma — ten tajemniczy automat jest opancerzony.

Tymczasem robot mówił dalej:

— Niemniej wydaje mi się że powinniście odizolować ten podzespół od innych i zbadać najbardziej elementarny z jego tysiąca siedmuset pięćdziesięciu sześciu impulsów stop jeśli połączycie podzespół z aparatami aktywności i wzbudzicie ów impuls najbardziej charakterystyczny dla tysiąca siedmuset podimpulsów dowiedziecie się co ów podzespół zawiera stop proszę przy tym o ostrożność stop.

Misza słuchając tego aż dostał wypieków. Natychmiast przystąpił do pracy i odłączył nie zbadany podzespół od reszty. Następnie wraz z Dikiem połączył go z centralnym ośrodkiem dyspozycji, a ten z kolei z aparatem ruchowym i wreszcie całość z zasobnikiem energii.

Załoga z napięciem oczekiwała na wynik.

Dik popatrzył na dowódcę. Ten kiwnął nieznacznie głową i kontakt został włączony.

Teraz spodziewano się rewelacji, tymczasem nic się nie działo. Dopiero Quetzalcoatl wskazał ręką na kikut nogi robota, który wykonywał jakieś rytmiczne ruchy. Wyglądało to w ten sposób, że kikut podnosił się jak mógł najwyżej, wysuwał, a następnie kurczył drapiąc ustrzelonym końcem o posadzkę.

Zebrani patrzyli czas jakiś na tę najprostszą manifestację nieznanego podzespołu w milczeniu.

— To chyba pomyłka — powiedział dowódca.

30

— Oczywiście! — krzyknął Quetzalcoatl. — To zupełnie proste, ale czyżby w tym zawierała się istota człowieczeństwa? On zgarnia do siebie? To jest najprostsza manifestacja egoizmu! To jest...

Nie dokończył.

Wszyscy uczestnicy wyprawy usłyszeli nagle w swoich słuchawkach alarmujący sygnał powrotu do pojazdu.

Dowódca trzymając w pogotowiu wibrator wybiegł pierwszy z kopuły i nie zważając na ogromny wydatek energii rozpylał zagrządzając drogę głazy tworząc tym samym jako tako wygodną ścieżkę. Za nim biegli inni.

Na zewnątrz kopuły nie działo się nic takiego, co by mogło wskazywać na niebezpieczeństwo. Gwiazdy świeciły spokojnie, a dwa małe słońca jak zwykle unosiły się nad horyzontem. Jednakże alarmujące sygnały z pojazdu nie ustawały, toteż uczestnicy ekspedycji

biegli co sił w nogach.

— Dlaczego nie zbliżysz się do nas — zawołał dowódca do swojego zastępcy, który pozostał w pojeździe.

— Nie mogę uruchomić silników.

— To przynajmniej powiedz, tumanie, co się stało i dlaczego nas wzywasz!

— Spieszcie się! Na niewidocznym dla was stoku wzniesienia ukazała się większa liczba jakichś istot! Usiłują wam odciąć drogę! Spieszcie się!

Ludzie męczyli się szybko w ciężkich kombinezonach i hełmach. W słuchawkach coraz głośniejszy słychać było rżące oddechy. Nagle usłyszano głos Solona.

— Nie mogę, już nie mogę, już nie mogę...

— Komendancie — zawołał Quetzalcoatl — starzec słabnie — i nie czekając na odpowiedź krzyknął z całą mocą w swój mikrofon. — Co ci jest, Solonie?

— Nie mogę już biec — odpowiedział tamten — nie mogę.

Teraz znów mówił Quetzalcoatl:

— Komendancie, trzeba go ratować! Wracajmy!

— To nie ma sensu — odpowiedział dowódca. — Wszyscy zginiemy!

— Ale to jest nasz towarzysz, nie możemy go tak zostawić!

— Rozumiem ciebie! Ale nie mogę dopuścić, aby wszyscy zginęli... Cywilizacja... nie będzie miała żadnej korzyści z tego, jeśli bezsensownie wszyscy zginiemy... rozumiesz! Cywilizacja wymaga, żeby przynajmniej część z nas się uratowała...

— Ja zostaję! — zawołał Quetzalcoatl.

Zatrzymał się. Inni przebiegli koło niego.

Obejrzał się, Solona nie było w zasięgu jego wzroku. Najwidoczniej gdzieś tam pozostał w dole. Ruszył w jego stronę.

Tymczasem reszta astronautów dopadła pojazdu. W kilka sekund wszyscy znaleźli się we wnętrzu i nie tracąc czasu przystąpili do przygotowania obrony. A więc przede wszystkim uruchomiono ekrany antywibracyjne i radarowe. Dowódca pilnie przeszukiwał okolicę, aby dokładnie wiedzieć, skąd i jak wielkie niebezpieczeństwo grozi pojazdowi.

Dopiero po wykonaniu najpilniejszych czynności podszedł do jednego z okienek, przy których skupili się zwiadowcy. Wszyscy z napięciem oglądali coś przez lornetkę.

— Czy ciebie to nie interesuje? — zapytał Tom dowódcę.

— Nie, oni przecież są straceni, cóż więc w tym interesującego?

— Czy nie uważasz, że powinniśmy ich ratować? Dlaczego nie podrywasz pojazdu?! Dlaczego...

— Już znam sytuację z ekranu radarowego. Niestety jest beznadziejna. Są już prawie otoczeni. Ratując ich moglibyśmy zginąć wszyscy.

— Czy nie moglibyśmy spróbować?

— Po co? Przeciwnik ma przeważające siły. Cóż za sens podejmować walkę w tej sytuacji?

— To są nasi...

— Wiem, wiem, i mnie już ogarnęło schorzenie Webera, ale cóż na to poradzę? Rozum przede wszystkim.

Nagle przy oknach wszczął się jakiś ruch.

— Pewnie ich wykańczają — mruknął dowódca — przykro mi, bo polubiłem tego dzikusa, a i stary był nie najgorszy.

Tom sięgnął po pastylki biotenu i spojrzął w okno. Krzyknął natychmiast:

— Wodzu, tam się dzieją rzeczy niezwykłe.

Teraz i dowódca zobaczył, jak przyparty przez roboty do wysokiej Skarpy Quetzalcoatl wpadł w furję. Chwycił kamień i rzucił się na napastników. Pierwszy rzut odłamkiem skalnym okazał się celny i jeden z robotów leżał już bez ruchu. Quetzalcoatl chwycił drugi

kamień i ruszył biegiem za napastnikami.

Załoga wozu ze zdumieniem patrzyła, jak ich współtowarzysz wspina się po zboczu, a przed nim umyka gromada metalowych krabów.

— Tom, co to jest? — wołał dowódca. — Czy to halucynacja? A może poszaleliśmy? Jesteś przecież humanistą! Wyjaśnij mi, co się tam stało!

— Wydaje mi się, że mógłbym to uczynić, ale nie czas teraz na wyjaśnienia.

— Trzeba się z nim porozumieć — powiedział dowódca.

— Czy nie sądzisz, że przy takiej odległości naruszymy ciszę radiową?

— I tak znają nasze położenie.

Tu dowódca nie czekając na odpowiedź przesunął gałkę nadajnika i zaczął mówić:

— Halo, Quet, halo, Solon, co się z wami dzieje?

Z wnętrza kopuły natychmiast nadeszła odpowiedź:

— Wygląda na to, że porozumiałem się z robotami.

— Proszę o szczegóły — wołał dowódca.

— Szczegółów wolimy nie ujawniać — odpowiedział tym razem Solon — przybywajcie natychmiast.

Teraz dowódca zwrócił się do Toma.

— Co ty o tym sądzisz?

— Nie ma rady, wydaj odpowiedni rozkaz i jedźmy. Rozumiem, co się tam stało, ale daj mi spokój z tymi pytaniami. Musiałbyś mieć więcej stopni Gandta, żeby pojąć, co się tam na dole dzieje.

Pod wprawną ręką dowódcy silniki natychmiast ruszyły i pojazd jednym potężnym skokiem przesadził kanion. Kilkadziesiąt sekund trwało zasłanianie go ekranami antywibracyjnymi, po czym dowódca, Misza i Tom trzymając w pogotowiu wibratory udali się do kopuły.

Kiedy wkroczyli do wnętrza, zebrane tam roboty skwapliwie usunęły się z drogi.

— Co się tu dzieje? — zapytał dowódca Solona.

— To, co widzisz. A poza tym nie przeszkadzaj nam w konwersacji z tubylcami. Właśnie Quetzalcoatl oświadczył robotom, że Ziemianie nie zamierzają im robić jakiegokolwiek krzywdy, że przybyliśmy tu wyłącznie w celach naukowych i że niebawem opuścimy te okolice.

Tymczasem przy Quetzalcoatlu stanął Tom.

— Byłoby nam miło dowiedzieć się czegoś więcej o was — zawołał. — Jeśli to nie jest tajemnicą, odpowiedzcie na kilka moich pytań.

— Mów — odpowiedział jeden z robotów.

— Przede wszystkim powiedz nam, kim jesteś i kto cię upoważnił do zabierania głosu w imieniu waszej gromady?

— Jestem wodzem wszystkich automatów na planecie stop.

— Kto cię powołał na to stanowisko?

— Sam się powołałem stop przez przypadek mój podzespół orientacji wykonano z lepszych niż u innych materiałów i dlatego stałem się o jakiś tam ułamek silniejszy od moich współtowarzyszy stop ponieważ automaty wyposażone są w bardzo precyzyjne mózgi elektroniczne szybko ten fakt oceniły i natychmiast mi się podporządkowały stop.

— Czy nie próbowały się buntować?

— Jakież miałyby to sens skoro byłem silniejszy stop najprostsza maszyna do liczenia przekona cię że bunt przeciwko mnie byłby sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem stop.

— Czy mógłbyś mi to bliżej wyjaśnić?

— To bardzo proste stop ponieważ jestem silniejszy od innych podporządkowałem sobie najpierw jednego robota stop działając następnie we dwóch z jeszcze większą łatwością podporządkowaliśmy sobie następnego stop kiedy było nas trzech bez trudu ujarzmiliśmy dwóch kiedy było nas pięciu stop i tak dalej stop potęga moja rosła z każdą minutą a szanse

ewentualnych przeciwników małały stop.

— A teraz poinformuj nas, skąd wzięliście się na Septimie II?

— To nie jest tajemnica stop kiedyś bardzo dawno temu na Septimie II istniała atmosfera składająca się w przeważającej części z tlenu stop powierzchnia i wnętrza naszego globu posiadały także pewną ilość wilgoci i w tych warunkach rozwijało się tu życie organiczne o strukturze bardzo zbliżonej do życia na waszej Ziemi stop.

— Skąd o tym wiecie?

— Wasze automaty wszystko nam przekazały stop gdybyście je wyposażyli w indywidualność zapewne to by się nie zdarzyło ale że są to zwykłe maszyny łatwo je sobie podporządkowaliśmy, stop ale do rzeczy stop otóż na Septimie egzystowały swojego czasu istoty rozumne które zdołały przetrwać nawet całkowitą czy też prawie całkowitą zagładę naturalnego życia organicznego na naszej stygnącej planecie stop w tych warunkach jednakże i oni musieli wyginąć stop wiedzieli o tym co ich czeka i aby w jakiś sposób przedłużyć swoją egzystencję i posłannictwo stworzyli nas metalowe roboty stop.

— Posłannictwo?

— Tak stop mamy określone zadanie do zrealizowania i zostaliśmy tak zbudowani abyśmy je skutecznie wypełniali stop.

— Cóż to za zadanie?

— Na razie nie mogę wam zdradzić tej tajemnicy stop uczynię to dopiero wówczas kiedy odpowiednią opinię o was wyda specjalny zespół mózgów elektronowych stop.

— Cóż to ma znaczyć?

— Nie obawiajcie się nic wam nie grozi stop na razie bądźcie cierpliwi i jeśli was jeszcze coś interesuje pytajcie stop.

— Dlaczego przyjęliście nas tak niegościnnie?

— Mamy smutne doświadczenia stop bardzo dawno temu wylądowali na Septimie II przybysze z Ziemi stop.

Zwiadowcy słysząc to wstrzymali na chwilę oddech.

— A więc to tu — szepnął Solon.

31

— Kiedy dopuścicie nas do waszej tajemnicy?

— Nie nastąpi to wcześniej zanim nie dokona się ocena waszej osobowości stop nie możemy bowiem Wielkiego Cudownego i Niepowtarzalnego wystawić na ryzyko zniszczenia stop.

— Głupia sytuacja — szepnął dowódca do Miszy. — Poza tym nie bardzo rozumiem, co się tu dzieje. Albo jesteśmy zwycięzcami i roboty winny się nam bezwarunkowo podporządkować, albo to oni mają nas w ręku!

— Nie marudź! Będzie dobrze, jeśli nie zaczną rozbierać nas na części, jak to my uczyniliśmy z ich kuzynem.

Tymczasem Tom indagował wodza robotów.

— W jaki sposób zamierzacie nas badać?

— To bardzo proste stop mamy przecież całą kartotekę SKP którą przekazały nam wasze automaty stop przy okazji powiem wam że popełniliśmy poważny błąd w momencie bowiem kiedy kartoteka SKP przekazuje dane o swoich podopiecznych do automatów sądowych instalacja SKP w tym czasie nie notuje nowych danych i w ogóle nie funkcjonuje stop nie znaleźliśmy jeszcze tego systemu i wprawdzie przejęliśmy cały zapas wiadomości SKP ale to pozwoliło wam na zmobilizowanie się przeciwko automatom stop.

— Rzeczywiście — wtrącił Misza — teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego SKP milczał.

Po Miszy zabrał głos Tom.

— Bardzo ładnie nam wyjaśniłeś, jaką drogą doszedłeś do władzy, nie możesz również zaprzeczyć, że na tej samej zasadzie Quetzalcoatl zdobył panowanie nad wami. Jakież więc znaczenie może mieć okoliczność, czy wasze mózgi wydadzą o nas opinię pozytywną, czy też nie i czy pozwolą nam na obejrzenie owego tajemniczego skarbu?

— To prawda stop Quetzalcoatl okazał się od każdego z nas z osobna silniejszy stop w pewnym momencie aparaty które go oceniały zakomunikowały że może jednemu z nas wyrządzić szkodę i nikt go od tego nie powstrzyma stop wówczas jeden po drugim uznaliśmy jego wyższość i stanęliśmy przy nim stop za nami poszły wszystkie roboty na Septimie II stop.

— Tam do licha! — zawołał dowódca. — A więc jesteście panami całej planety!

— Niech komendant nie zapomina, że to ja jestem panem planety! Mówię to nie dlatego, żeby mi to pochlebiało, ale obawiam się, że ty, wodzu, wszystko zepsujesz.

— Co za bzdury pleciesz?

— Wcale nie bzdury. Wódz też rachuje jak maszyna. Jeśli przeciwnik silniejszy, to nam się nie podda, a jeśli słabszy, to trzeba go bić. Wódz mógłby wszystko zepsuć.

— Quetzalcoatl ma sporo racji, ale wreszcie pozwólcie temu elektronowemu dżentelmenowi opowiedzieć do końca to, co tak pięknie rozpoczął.

— Jesteśmy strażnikami to już wolno mi powiedzieć Wielkiego i Cudownego stop — mówił dalej wódz robotów — dlatego też trzeba abyśmy o siebie dbali i trwali jak najdłużej stop dlaczego zapytacie stop to jasne skoro nas stworzono do pilnowania i opiekowania się Wielkim i Cudownym to znaczy że winniśmy wszystko znieść aby ów cel naszej egzystencji uchronić przed zagładą bo przecież jeśli nas nie będzie zginie również Wielkie i Cudowne stop jest ono sensem naszego bytu stop i odwrotnie stop gdyby ktoś zniszczył Piękne i Cudowne po cóż mielibyśmy dalej egzystować stop dlatego miejcie się na baczności stop boimy się ale tylko do pewnej granicy stop.

— Nie zamierzamy krzywdzić Wielkiego i Cudownego — powiedział Tom — i wiercie nam, razem z wami będziemy się cieszyć. Nie wiemy jeszcze, jak wygląda, ale zamiast niszczyć, gotowi jesteśmy go bronić. Jeszcze go nie widzieliśmy, a już jesteśmy zachwyceni. Wielkie i Cudowne musi być naprawdę piękne, jest bowiem sensem waszej egzystencji.

— Człowieku — szepnął dowódca — ty kpisz czy mówisz serio?

— Milcz, głupcze — powiedział Solon — widać, że nigdy nie pojmiesz, co tu zostało powiedziane.

Tymczasem monotony głos wodza robotów zmienił intonację.

— Słuchajcie ludzie stop właśnie zostałem powiadomiony ostatecznie o decyzji naszych automatów stop Cudowne i dla nas Najdroższe obejrzeć będą mogli Tom Quetzalcoatl Solon i Misza stop.

— Dlaczego pominęliście dowódcę, jego zastępcę i Dika?

— Nic na to nie poradzę stop najwidoczniej nasze mózgi oceniły że ci trzej nie będą w stanie pojąć tego co zobaczą stop może obawiają się że ci ludzie przejdą koło Nieustającego Cudu jak osioł obok wiekopomnego dzieła Cervantesa stop a jeśli się zatrzymają to tylko po to aby skosztować jego karty.

— Kto to jest Cervantes? — zapytał Misza.

— To pisarz, który żył w zamierzchłych czasach i stworzył największe dzieło literackie ludzkości — odpowiedział Tom.

— O czym pisał?

— O pewnym facecie, który nie chciał liczyć (jak by ci to wyjaśnić?). Był trochę podobny do Quetzalcoatla i zupełnie niepodobny do wodza. Nazywał się Don Kichot.

- Czy był też taki dziki jak Quetzalcoatl?
 - Ależ człowieku, to nie o to chodzi. Don Kichot był mędrce.
 - Czy tym samym należy mniemać, że nasz wódz jest głupcem?
- Tom aż sapnął ze zniecierpliwienia.

— Człowieku, niech już stracę, popełnię przestępstwo i zdradzę ci prawdę, którą poznasz jako pierwszy spośród kilkuset milionów techników. Otóż istnieją dwie mądrości, niższa i wyższa. Pierwsza to mądrość cyfr, mądrość wodza, druga to mądrość Don Kichota i mądrość Quetzalcoatla.

— Nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi? To wszystko jest takie dalekie od swojskich uzwojeń Marone'a.

— Jeśli tego nie rozumiesz, to wiedz przynajmniej tyle, że wódz nie opanowałby Septimy, natomiast Quetzalcoatl zwyciężył.

32

Pojazd ruszył w kierunku wskazanym przez wodza robotów. Ponieważ Ziemianom nie groziło niebezpieczeństwo, posuwano się nie drobnymi skokami jak dotychczas, lecz wystartowano do normalnego lotu. Przeszła również obowiązywać cisza radiowa, toteż nawiązano łączność z Delta i przekazano statkowi wszystkie zdobyte informacje.

Po krótko trwającym locie wylądowano w miejscu, które jakkolwiek nie różniło się niczym od innych okolic Septimy II, to jednak znać tu było działalność inteligentnych istot. Jakieś nasypy, sztolnie, jakieś wyrównane place, wreszcie jakieś urządzenia transportowe, dźwigi i konstrukcje o niewiadomym pochodzeniu.

— Co to jest? — zapytał Tom.

— To jest nasza stolica gdzie mieszkamy i gdzie produkujemy części zamienne do osobistych mechanizmów stop czasami nawet produkujemy nowe roboty a przede wszystkim wytwarzamy zasobniki energii bez których nie moglibyśmy działać stop mało tego gdyby nawet na skutek jakiegoś kataklizmu został tylko jeden robot zdolny on byłby zaopiekować się Cudownym i Przepięknym a nawet odbudować całą naszą społeczność stop.

Tom uśmiechnął się.

— Smutne to, ale z nami jest cokolwiek inaczej. Gdyby został na Ziemi na przykład jeden z naszych techników, mógłby on odtworzyć tylko nędzny fragment ziemskiej Cywilizacji.

— Albo dowódca...

— Jeszcze z dowódcą pół biedy, ale co by się stało, gdyby na świecie został jego zastępca?

— To byłaby klęska ostateczna, on nie ma nawet piętnastu Gandtów.

— O przybysze z Ziemi — zaczął wódz robotów — naigrawacie się z jakiegoś mało inteligentnego biedaka ale czy sami potrafilibyście wskazać drogę po której idziecie i wzory według których samodzielnie odbudowalibyście Cywilizację stop.

— To bardzo proste — powiedział Misza — możemy iść naprzód albo w tył. Nasz los to postępek lub regresja. Oczywiście, zawsze będziemy starali się iść naprzód. Naszym hasłem zawsze będzie jedność, integracja, centralizacja i wszystko, co jest skupieniem.

— O to niedobrze przybyszu z Ziemi bowiem integracja jak i dezintegracja centralizacja i decentralizacja skupienie i rozproszenie to równoważące się atrybuty jednego zjawiska stop brak równowagi między nimi może doprowadzić do katastrofy a już uważanie na przykład centralizacji za zjawisko dodatnie a decentralizacji za ujemne jest tak samo śmieszne jak przekładanie ciepła nad zimno stop.

— Solonie — powiedział Tom — wypada, żebyś zabrał głos i wyjaśnił temu automatuwi istotę rozwoju naszej Cywilizacji.

— Nie wiem, czy robot zrozumie nadprzeciętnego, a w każdym razie wy niewiele z tego pojmiecie — powiedział Solon.

— Mniejsza o to. Wal na całego.

Solon skupił się na chwilę i zaczął mówić:

— Rozwój Cywilizacji ziemskiej jest cośkolwiek skomplikowany i ażeby go pojąć, należy rozpatrzeć dwa możliwe warianty. Pierwszy ma miejsce wówczas, kiedy siły powiedźmy centralizacji i decentralizacji są sobie równe i jedynie na zmianę dają znać o sobie. W historii ludzkości manifestowało się to zjawisko między innymi wzrostem państw, a następnie ich rozkładem Raz po raz na przestrzeni wieków rosły imperia, po to, aby wreszcie ulec siłom wewnętrznym, odśrodkowym, po to, żeby znowu stworzyć grunt dla powstania rozdętej potęgi. Gdyby rozwój ludzkości przedstawić w jakimś graficznym skrócie, uzyskalibyśmy obraz regularnej pulsacji mieszczącej się niezmiennie między dwoma równoległymi. Ta epoka rządziła się prawami bezwzględnej walki wszystkich przeciwko wszystkim, gdyż tylko w tych warunkach mógł się odbywać ów ruch pulsacyjny. U schyłku epoki barbarzyństwa wydarzyła się rzecz niezwykła. Równoległe linie utrzymujące od tysiącleci w korbach funkcjonowanie społeczeństw ludzkich nagle pochyliły się ku sobie i w pewnym momencie wzajemnie się przecięły.

— Chcesz przez to powiedzieć odpowiedział robot — że w pewnym momencie proces centralizacji, jeśli już jesteśmy przy tym przykładzie, nie znalazł należytej odprawy ze strony sił odśrodkowych stop.

— Oczywiście, tak.

— Ale dlaczego właśnie w tym jedynym i określanym momencie nastąpił ów przełom stop przecież ludzie od początków swojego istnienia marzyli o przeróżnych civitas maxima o jednej owczarni i jednym pasterzu o wielkich uniwersalnych państwach świata stop zresztą nie tylko marzyli ale i działali w tym kierunku stop wielkie związki ludzkie zdawałoby się już osiągnące swój ideał były często dziełem właśnie tych ludzi stop nigdy się im jednak nie udało stop zawsze gdzieś pod ziemią w zakamarkach powstawały nowe siły które rozsadyły stary porządek stop rozwalaly go na kawałki stop dlaczego zatem wasza Cywilizacja stanowi wyjątek stop.

— To bardzo proste — odpowiedział Solon — stało się, że doszliśmy do pewnego punktu krytycznego, który wykluczył zasadę walki. Gęstość zaludnienia, skomplikowane urządzenia techniczne, a nade wszystko gigantyczne środki zniszczenia w pewnym momencie wykluczyły walkę, dotychczasową siłę motoryczną społeczeństw ludzkich.

Solon zamilkł na chwilę.

— Tak, przede wszystkim posiadane przez człowieka środki zniszczenia położyły kres zasadzie powszechnej walki — dokończył.

— Ja jednak — zabrał tym razem głos dowódca — nadal nie rozumiem, dlaczego owe linie się przecięły?

Solon i Tom uśmiechnęli się do siebie.

— Ach, ty techniczna boża krówko — zawołał Tom — ty królu wszechświata! Toć to nawet dziecko zrozumie.

— Nie śmiej się z techników, Tom, bo właśnie technicy podobni są do dzieci. Jestem wprawdzie nadprzeciętnym i wiele wysiłku wkładam w to, aby się zniżyć do ich poziomu, ale spróbuję raz jeszcze. A więc, wodzu, wystarczy przyjrzeć się tylko jednej fazie owej pulsacji, a wszystko stanie się jasne. Powiedz mi teraz, czy możesz sobie wyobrazić Ziemię podzieloną między sto państw?

— Oczywiście.

— Czy jesteś zdolny owe sto państw wyobrazić sobie jako, powiedzmy, sto kuleczek

ułożonych w jeden równy rząd?

— Tak.

— Jak sądzisz, co się stanie z tymi kuleczkami po dziesięciu latach, zważywszy, że one ze sobą walczą?

— Prawdopodobnie będzie ich mniej, bo silniejsze pochłoną słabsze.

— Jak na technika, odpowiedź świetna. A czy mógłbyś nad poprzednim rzędkiem liczącym sto narysować ten następny, krótszy, bo liczący mniej kuleczek?

— Oczywiście, że mogę.

— A jeśli na twoim rysunku wyrysuję nad pierwszym i drugim trzeci rząd, to co to będzie oznaczało?

— Upłynęło następnych dziesięć lat, z tym, że ów trzeci rząd będzie jeszcze krótszy.

— A co się stanie w miarę upływu dalszych lat?

— Na moim rysunku powstanie coś w rodzaju piramidy.

— Otóż to! Piramida! A więc teraz słuchaj dalej. W czasach barbarzyńskich właściwie nigdy ta piramida do końca uformować się nie mogła, bowiem siły odśrodkowe nie pozwalały na to i nasza figura znowu wracała do swego rządka złożonego ze stu kulek. Dlatego to uprzednio powiedziałem, że ten cały proces mieścił się między dwiema liniami równoległymi. Skoro jednak z pewnych przyczyn siły odśrodkowe przestały działać, piramida wykształciła się do końca. Doszło do tego, że po eliminacji i wchłonięciu słabszych zostało tylko dwóch partnerów. Świat stoi przed największą datą w swojej historii. Do ostatniej chwili panuje niepodzielnie, niczym nie uszczuplony duch barbarzyńskiej walki. Oczywiście barbarzyńcy niczego nie przeczuwali. Jak przed tysiącem lat, tak i teraz ogarnięci byli obłądną manią łączenia, wcielania, jednoczenia... Wydawało im się, że jeśli zniszczą ostatnią granicę dzielącą dwóch partnerów, to nastąpi tylko jeszcze jedna aneksja, czy też tylko jeszcze jedna unia. Sądzi, głupcy, że to tylko jeszcze jeden mały stopień w ich postępie, a nie wiedzieli, że to kres całego ich świata. Nie przeczuwali biedacy, że będzie to unicestwienie ich wszelkich wartości. Ale wróćmy do piramidy naszego dowódcy. Jak sądzicie? Co się stanie z liniami zamykającymi proces jej narastania?

— Przetną się.

— Ale życie płynie dalej — powiedział Misza.

— Tak, życie płynie dalej — kontynuował swój wykład Solon — i nasza Cywilizacja to właśnie społeczeństwo, które funkcjonuje po przebyciu owego krytycznego punktu. Całe zjawisko z kolei porównać można do owej camera obscura. Pamiętacie? Pudełko o szczelnych ściankach z jednym małym otworem i matówką. W urządzeniu tym promienie przecinają się w jednym punkcie, aby na matówce ukazać odwrócony obraz rzeczywistości.

— Czy nasza Cywilizacja to również odwrócony obraz barbarzyństwa?

— Tak. Zauważcie, że wszystko, co u barbarzyńców było cenione, u nas ma wartość ujemną, i odwrotnie. Ot, chociażby ów honor, przyjaźń, indywidualizm, niezależność, suwerenność, wolność... W dawnych czasach stanowiły tytuł do chluby oraz objaw mocy. A u nas? U nas wszystko to zwiastuje rozkład i degrengoladę.

Zwiadowcy wysiedli z wozu i ruszyli za robotem, który zaprowadził ich do czegoś w rodzaju wagonika kolejki linowej. Na dany przez niego znak kolejka ruszyła i wagonik zaczął pomykać wśród wielkich metalowych konstrukcji, hałd drobnego gruzu i jakiejś zupełnie sypkiej substancji. Następnie wydobywszy się z obszaru zabudowanego płynął nad skalistymi kanionami Septimy II. Wreszcie zatrzymał się na niewielkiej platformie otoczonej ostrymi i

stromymi skałami, na której wznosiła się kopuła podobna do tej, jaką Ziemianie poprzednio znaleźli wśród pustyni. Wysiedli z wagonika i prowadzeni przez wodza robotów udali się do owej kopuły, gdzie, jak się okazało, znajdowała się winda prowadząca pod powierzchnię planety.

Weszli do jej wnętrza i ruszyli z dużym przyśpieszeniem.

— Czy ta droga nigdy się nie skończy? — zapytał Misza.

— Tak, to dosyć głęboko — odpowiedział robot — ale musieliśmy tam umieścić nasz skarb aby zapewnić mu bezpieczeństwo stop.

Winda zatrzymała się i zwiadowcy znaleźli się w dużej hali oświetlonej silnym światłem.

— Tutaj musimy się zatrzymać — powiedział wódz robotów — gdyż Wspaniałego trzeba przygotować na wasze przybycie stop potrwa to czas jakiś stop w międzyczasie Solonie opowiem ci coś bardzo cię obchodzącego stop wyjaśnię tajemnicę twojego życia stop.

— Cóż ty o mnie możesz wiedzieć?

— Mamy przecież kartoteki SKP stop.

— Czy wiesz coś o moim ojcu? Kim był? Co robił? W jaki sposób udało mu się ominąć SKP? — Solon był wyraźnie poruszony.

— Muszę cię rozczarować stop to nie był twój ojciec stop cała rzecz była ukartowana przez władze Cywilizacji stop.

— Ależ po co? — krzyknął Solon i zaraz potem zakrył twarz rękami. — Już rozumiem — szepnął. — Biedna i nieszczęśliwa Cywilizacja! Sama sobie zaszczepiła truciznę!

Solon pograżył się w milczeniu. Milczał również wódz robotów.

— Byłbym wielkim kłamcą, gdybym twierdził, że rozumiem, co się tutaj dzieje — prze-rwał ciszę dowódca. — Ludzie, wytłumaczcie mi, co to za trucizna i dlaczego Cywilizacja ją sobie zaszczepia?

— Czy nie słyszałeś nigdy o zaszczepianiu choroby, żeby uzyskać lecznicze antidotum? — odpowiedział Tom.

— Oczywiście, że słyszałem, ale jaką odtrutkę mógł wytwarzać Solon?

— Musiał bardzo chcieć przezwyciężyć sytuację bez wyjścia, musiał próbować prze-zwyciężyć konieczność, musiał przezwyciężyć los.

— Ależ ludzie! Cóż znaczy słowo „chcieć” w naszym pozbawionym niewiedzy świecie?

— Właśnie chodzi o to słówko „chcieć” i wszystko, co się za nim kryje.

Teraz dowódca zwrócił się do wodza robotów.

— Czy to prawda? Czy ty także wiesz, dla czego Solona odizolowano?

— Oczywiście że wiem stop po prostu Solon za mało przejawiał aktywności stop za mało chciał stop.

Robot zamilkł na chwilę, a potem znowu zwiadowcy usłyszeli jego monotony głos.

— Już czas dają nam znaki stop idziemy do Przepięknego i Cudownego stop niech dowódca i ci których nie wyróżniono zostaną stop.

Przybysze z Ziemi znaleźli się w następnym pomieszczeniu oświetlonym tak mocno, że aż raziło w oczy.

Na środku hallu, stał kilkunastometrowy metalowy cylinder.

— Tu jest tlen — stwierdził Misza.

— Tak tu musi być tlen stop — odpowiedział robot.

Tymczasem cylinder począł bezszelestnie pogrązać się pod posadzkę. Dość długo czekano zanim oczom Ziemian ukazał się mały odkryty pojemnik.

Quetzalcoatl dostrzegł pierwszy.

Podbiegł do pojemnika i pochylił się nad nim

Solon podniósł rękę, aby osłonić oczy przed silnym światłem, gdyż nie wierzył temu, co

zobaczył.

Tom również był zdumiony i szybko zwiększał ostrość swojego okularu

Po chwili wszyscy pochylili się nad pojemnikiem.

Znajdowało się w nim jakieś rosochate zjawisko koloru ciemnozielonego, podobne do kaktusa.

— Więc to jest Wielki Cudowny? — powiedział Tom.

— Tak — odpowiedział robot — to ostatni przedstawiciel życia które kiedyś kwitło na Septimie stop ostatni żyjący osobnik z tysięcy stop dla utrzymania go przy życiu istniejemy stop.

— Jaki piękny — powiedział Solon.

— O widzicie — powiedział znowu wódz robotów — tu z boku wykształcił się maleńki pączek stop widzicie jaki włochaty jaki wzruszający stop.

Astronautom nagle stanął przed oczyma ogrom martwego wszechświata, wśród którego pulsowało to maleńkie życie.